



instytut muzyki i tańca
IMiT

wariacje kolbergowskie

OSKAR KOLBERG, ETNOGRAF
1814–1890





Oskar Kolberg. Druk wg ryciny Piotra Stachewicza

wariacje kolbergowskie



CZĘŚĆ I: OJCIEC ZAŁOŻYCIEL

- 3 Wojciech Józef Burszta** Trzy życia Oskara Kolberga
- 6 Dariusz Czaja rozmawia ze Zbigniewem Benedyktowiczem**
Nasze Macondo
- 9 Grażyna Kubica** Szlachetne ciotki i siostry Kolberga,
czyli o kobietach w antropologii

10 KALENDARIUM KOLBERGA

CZĘŚĆ II: NA POCZĄTKU BYŁA MUZYKA

- 12 Piotr Dahlig** Muzyka na żywo
- 14 Rozmowa z Gustawem Juzalą i Justyną Cząstką-Kłapytą**
Śpiew między światami
- 16 Andrzej Muszyński** Cisza nad polską wsią

CZĘŚĆ III: SPOTKANIA Z OBCOŚCIĄ

- 19 Alina Cała** Portrety obcego
- 21 Dorota Siwor** Podróżując do źródeł
- 23 Rozmowa z członkami grupy Kolektyw Terenowy**
Wsie. Nie jedna, nie dwie

CZĘŚĆ IV: W STRONĘ ZMYŚLÓW

- 25** Rozmowa o kulinariach: **Od jadła chłopskiego do chłopskiego jadła**
- 28 Piotr Korduba** Państwo ludowe
- 29 Rozmowa z prof. Zbigniewem Liberą** Wielokropek Kolberga

REDAKCJA Anna Niedźwiedź, Marcin Żyła

WSPÓŁPRACA Jacek Ślusarczyk

FOTOEDYCJA Grażyna Makara, PROJ. GRAF. Marek K. Zaleski

Za wszechstronną pomoc dziękujemy pracownikom Muzeum Etnograficznego im. Seweryna Udzieli w Krakowie: Alicji Małecie, Barbarze Kożuch i Marianowi Długoszowi. Wszystkie ilustracje – poza oznaczonymi inaczej – pochodzą z tego Muzeum.

DODATEK POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z UNIwersYTeTeM ŁÓDzkIM I MUZEUM ETNOGRAFIczNYM IM. SEWERYNA UDZIELI W KRAKOWIE



Uniwersytet
ŁÓDZKI

Muzeum Etnograficzne
im. Seweryna Udzieli w Krakowie

Spotkania

ANNA NIEDŹWIEDŹ

Antropologia kulturowa – dziedzina, która na gruncie polskim wyrosła na ludoznawczych podwalinach wyciosanych przez Oskara Kolberga – nie zalicza się do dziedzin niewinnych ani bezpiecznych. Powstała z ciekawości i chęci przekraczania mentalnych oraz kulturowych granic, stawiając badacza w sytuacji najbardziej nieprzewidywalnej: w sytuacji spotkania. A autentyczne spotkanie jest zawsze dynamiczne, nie do końca kontrolowane – oraz wyjątkowe.

W dodatku etnograficzne spotkanie stawia podwójne wymagania, gdyż dzieje się dwutorowo. Pierwotna antropologiczna chęć spotkania z obcością i odmiennością obraca się bowiem w konieczność spotkania również z samym sobą, z własnym wnętrzem i fizycznością, oraz z własnymi – choć ukształtowanymi kulturowo i społecznie – nawykami, odczuciami i ograniczeniami. Refleksja nad odmiennością innych oraz wewnętrzna autorefleksja, poczucie jedni i wspólnoty oraz dojmujące poczucie osamotnienia to ambiwalentne odczucia, nieobce każdemu, kto zdecydował się na poważnie zgłębiać i praktykować „sztukę antropologii”.

Biografie antropologów, etnologów, etnografów i ich ludoznawczych „ojców” potrafią świetnie przybliżyć specyfikę dyscypliny. Antropologia bowiem nie może być uprawiana tylko i wyłącznie w instytucjonalnych murach akademii czy naukowych towarzystw. Traktowana serio, staje się stylem życia i sposobem oglądu świata, kształtuje prywatne przyjaźnie i popycha do naukowych fascynacji.

Niezwykła, wielotorowa biografia Oskara Kolberga – symbolicznego „ojca założyciela” polskiej etnografii (choć, jak wiemy, nie pierwszego polskiego etnografa) – jest tego świetnym dowodem. Świat „Ludu, jego zwyczajów, sposobu życia, mowy, podań, przysłów, obrzędów, guseł, zabaw, pieśni, muzyki i tańców” pochłoniętego romantycznego pozytywistę tak bardzo, iż dla niego wywrócił do góry nogami całe swoje życie, włączając równocześnie w kilkudziesięciotomowe ludoznawcze dzieło swą pierwszą, a nie do końca spełnioną miłość – muzykę.

Dziś, poprzez „Wariacje Kolbergowskie”, chcemy zaprosić Państwa do celebrowania dwusetnej rocznicy urodzin Oskara Kolberga. Dumając nad osobowością, pasją i pracowitością tego badacza, dostrzegamy przede wszystkim dokumentalistę światów kulturowo mu odległych. Zaiste, XIX-wiecznemu inteligentowi, wychowanemu na podwórku Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie jako chłopiec bawił się w towarzystwie Fryderyka Chopina, trudno było chyba o głębsze doświadczenie obcości niż spotkanie z – w dużej mierze niepiśmiennymi, a uwłaszczanymi na oczach Kolberga spośród rozlicznych perturbacji po latach niewoli – chłopskimi mieszkańcami wsi. Co przydarzyło się Kolbergowi w czasie tego spotkania z „innością”? Jak bardzo stało się ono jego udziałem? Co z niego nam przekazał? Komu i jak oddał głos, a kogo nie usłyszał...? To pytania, z którymi warto do Kolberga wracać i z którymi warto o Kolberga się spierać, gdyż dotyczą one istoty antropologii.

Tworząc ten dodatek, nie chcieliśmy wpiąć Kolberga w poczet poważnych, wiekowych i zasłużonych panów, którzy tak często straszą z naukowych portretów. Jego spuścizna zasługuje na dużo więcej niż tylko na zakurzoną archiwalną szufladę z opisem: „wielki był”. Stąd zrodziły się „wariacje” – kompozycja ze swej natury zmienna, a zatem żywa. I taki też jest, mamy nadzieję, ten dodatek. Składają się nań teksty odsłaniające nie tylko skomplikowany historyczny kontekst Kolbergowskiej epoki i jego „ludu”, ale i teksty niezwykle współczesne, często tworzone przez dzisiejszych dalekich „prawnuków” Kolberga, dla których słowa „wieś”, „obcość” czy „prowinacja” niosą nowe znaczenia i wiążą się z ich własnym doświadczeniem etnograficznego spotkania.

Zmienność i wariantowość „wariacji” pozwala również odsłonić indywidualistyczne oblicze antropologii. Niektórzy mówią nawet, że tyle jest antropologii, ilu jest uprawiających ją antropologów. Sporo w tym zdaniu przesady i przerostu narcyzmu nad empatią (choć obie te cechy spotykają się przecież w doświadczeniu antropologicznym). Warto więc może dopełnić je stwierdzeniem, że tyle jest antropologii, ile otwartości i spotkań. Dlatego antropologia – ta najbardziej ludzka z humanistycznych nauk – zawsze będzie „wariacyjna”, dialogiczna i polifoniczna.

Taką polifoniczność antropologicznego dyskursu niejednokrotnie podkreślał Profesor Czesław Robotycki, dla wielu autorów i redaktorów tego dodatku Przyjaciel, Kolega i Autorytet, dla mnie osobiście – pierwszy Mistrz, który wprowadził mnie w sztukę antropologii. Profesor zwracał uwagę, iż de facto reprezentuje ona polifoniczność kultury w ogóle. A polifoniczność dopuszcza i ambiwalencję, i paradoksalność. Kiedy powiedział, że „nie wszystko jest oczywiste”, czynił to z całą świadomością tego, iż świat idei i wyobrażeń, w którym żyjemy i które nami rządzą, jest zarazem światem przez nas kreowanym i odtwarzanym. Dlatego pamiętał i przypominał całym swoim życiem, że świat, człowiek i kultura są po prostu ciekawe i warte namysłu.

Profeesor Robotycki przyznał kiedyś w rozmowie, iż ceni terapeutyczny wymiar humanistyki, „która jest próbą odpowiedzi na pytanie »co ja tutaj robię?«. Uczyl, że to właśnie umiejętność stawiania tego pytania (i nieustannego powracania do niego) jest sednem „postawy antropologicznej”. „Już samo oglądanie własnej rzeczywistości i praca nad własną świadomością może stać się rodzajem terapii” – powiedział. Zauważał też, że antropologia wymaga odwagi, gdyż zakłada otwarcie na możliwość zmiany własnego oglądu świata i samego siebie.

Gdy we wrześniu ubiegłego roku narodził się pomysł „Wariacji Kolbergowskich”, oczywistym było, iż będziemy go konsultować z Profesorem Robotyckim. Jako wielki i długoletni sympatyk oraz przyjaciel „Tygodnika”, z chęcią i entuzjazmem wsparł nasze działania. Nie wiedzieliśmy wówczas, że zabraknie go wśród gości zasiadających do Kolbergowskiego urodzinowego stołu...

Profeesor zmarł nagle w niedzielę, 19 stycznia 2014 roku. Ten dodatek „Wariacje Kolbergowskie” jest w sposób szczególny dedykowany właśnie Jemu – Antropologowi, który był Człowiekiem... ♦



„Od Raszyna, od Czerniakowa”, rysunek odręczny, kolorowany. Publikacja: „Lud...” koniec XIX w.

Trzy życia Oskara Kolberga

Twórca źródłowych podstaw etnologii i folklorystyki polskiej, w pewnym sensie fundator obu tych nauk. Ale i pozytywista, który fascynował się kulturą wsi nawet wtedy, gdy przestała ona odpowiadać romantycznym mrzonkom o jej rzekomej szlachetności i „starodawności”. Kim był Oskar Kolberg?

WOJCIECH JÓZEF BURSZTA

Kiedy 3 czerwca 1890 r. w krakowskim mieszkaniu Izydora Kopernickiego przy ul. Długiej zęgnął się z tym światem Oskar Kolberg, wyznał otaczającym go najbliższym: „Umieram, Bogu dzięki, z tą pociechą, że według sił moich zrobiłem za życia, co mogłem, że nikt mię za próżniaka nie ma i mieć nie będzie, a to, co po sobie zostawiam, przyda się ludziom na długo”.

Kolberg był człowiekiem-instytucją, samotnym pasjonatem wiedzy, niespełnionym muzykiem i kompozytorem; człowiekiem wielu talentów i niespożytej energii. Wystarczy uświadomić sobie, że samo tylko *opus magnum*, którym z pewnością było dlań dzieło „Lud, jego zwyczaj, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”, to przeszło 30 tys. stron druku. Dopiero niebawem skończy się krytyczna edycja tego dzieła, które rozrosło się do przeszło 80 tomów.

Dziś Kolberg jest jednocześnie znany i nieznan, a do tego często postrzegany według upraszczającej matrycy, polegającej na narzucaniu współczesnej wiedzy na realia sprzed dwóch stuleci, i oceniania jego spuści-

zny wyłącznie przez ten pryzmat. Co więcej, jest w dobrym tonie „przyłożyć” Kolbergowi, wskazując na niedostatki jego metody, brak szerszych horyzontów teoretycznych i rzekomą skłonność do instrumentalnego traktowania chłopów w trakcie – jak sam Kolberg to określał – „połowów” w terenie.

Wszystko to wynika przede wszystkim z nieznamomości tego, czego dokonał Kolberg, oraz nieznamomości celów, które sobie postawił. Kim był ten człowiek, skoro współczesnym jawił się jako jedna z ważniejszych postaci życia intelektualnego? Jego „Lud...” stawiano bowiem w równym rzędzie z takimi dziełami jak „Słownik języka polskiego” Samuela Bogumiła Lindego czy „Bibliografia polska” Karola Estreichera.

Mój sąsiad Chopin

Rodzina Oskara (który przyszedł na świat 22 lutego 1814 r. w Przysusze w województwie opoczyńskim jako Henryk Oskar Kolberg) nie miała polskich korzeni. Ojciec, Juliusz Kolberg, pochodził z Meklemburgii; matka, Karolina de Mercoeur, wywodziła się ze

Kolberg: *Każdy rodzący się człowiek ma dla siebie osobną gwiazdę na niebie, która mu świeci, pokiela (dokąd) żyje. Im gwiazda jaśniejsza, tym szczęśliwszy człowiek, jeżeli nierzetelna, przymglona, ciemnawa, to i życie takiego człeka bylejakie. Gdy człowiek umiera, jego gwiazda spada. Tu gdzie gwiazda zmarłego upadła, ostanie po niej kieby plama, cosik miękkie, tłuste, niby z knotem wypalona świeczka łojowa. (...) Gwiazdy są postanowione od P. Jezusa po potopie świata, wprzód ich nie było tyła, bo też i ludzi nie było; komuż miały świecić?”*

DWOK 7, KRAKOWSKIE CZ. III

spolszczonej rodziny francuskich emigrantów. Oboje rodzice byli jednak „fanami” polskości: w domu mówiono się tylko po polsku, przyjaciółmi domu byli zaś Kazimierz Brodziński, rodzina Chopinów i cała plejada artystów romantycznych. Przewijali się oni przez dom rodzinny Kolbergów, którym od 1819 r. stało się ich warszawskie mieszkanie.

Ojciec, profesor i inżynier z zawodu, miał ciągoty literackie, był także tłumaczem i amatorsko parął się literaturą, matka świetnie grała na fortepianie i znana była z zamiłowania do tej dziedziny sztuki. Oskar miał czterech braci, z których dwóch na trwałe zapisało się w dziejach polskiej kultury. Najstarszy Wilhelm, jako naukowiec i inżynier, budował m.in. Drogę Żelazną Warszawsko-Wiedeńską. Najmłodszy Antoni został znanym malarzem, a jednocześnie słynnym birbantem i utrapieniem rodziny, nieustannie wspomagającej go finansowo na kolejnych zakrętach życiowych.

Wychowujący się równocześnie w duchu zdyscyplinowanego myślenia naukowego i nieskrępowanej sztuki romantycznej, Oskar wiązał swą przyszłość z muzyką. Na decyzję chłopca o podjęciu edukacji w dziedzinie muzyki fortepianowej i nauki kompozycji wpłynęło sąsiedztwo i koleżeństwo z Fryderykiem Chopinem. Mimo iż Chopin – w jednym z listów do rodziny – określił talent młodszego kolegi jako „za krótki”, Kolberg przez wiele lat komponował, parął się zawodowo muzyką, utrzymywał z lekcji fortepianu, a szczególnie uczucie wobec muzyki przeniósł potem na pieśni i tańce ludowe.

„Męcząca bakałarka”

Uczył się u znamiennych fachowców – Józefa Elsnera i Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego, potem studiował kompozycję w Berlinie, nie omieszkując przy okazji pobierać nauki w tamtejszej Akademii Handlowej, co pozwoliło mu potem zarabiać na chleb przez 16 lat pracy jako księgowy [sic!] w zarządzie kolei warszawsko-wiedeńskiej. Po powrocie z Berlina najął się jako domowy nauczyciel gry na fortepianie, wyjechał na rok do Homla w tym samym celu, by wreszcie w roku 1845 objąć wspomnianą posadę księgowego, na której wytrzymał do roku 1861.

Rozdarty między koniecznością zarobkowania („męcząca bakałarka”)

a ambicjami artystycznymi, nie zaniebyszał pisanania muzyki. Jego pasją jest komponowanie utworów „na nutę wiejską”. W latach 1848-59 powstały takie utwory jak „Nasze siola” i „Mazur bez słów”, a także muzyka do trzech dzieł dramatycznych: „Janka spod Ojcowa” Jana Kantego Gregorowicza, „Wiesława” Seweryny Duchinińskiej-Prusakowej i „Króla pasterzy” Teofila Lenartowicza. To ostatnie dzieło zostało wystawione 2 marca 1859 r. w Teatrze Wielkim w Warszawie.

Kolberg dał sobie spokój z komponowaniem, kiedy doszedł do wniosku, że w tej dziedzinie nigdy nie będzie wielkim twórcą – a swoje muzyczne kompetencje wykorzysta przy pracy nad materiałami folklorystycznymi. Stało się to w roku 1856.

Z ludem, z romantykami

Kolejną stroną życia Oskara Kolberga było bowiem namiętne gromadzenie pieśni ludowych. Napisał kiedyś, że głównym impulsem do zainteresowania się folklorem muzycznym był europejski i polski romantyzm, który skierował go „ku rzeczom ludowym”. To wtedy poznał zbiory pieśni Waława z Oleska, także prace K.W. Wójcickiego, Żegoty Paulego i Józefa Konopki, i wiele innych publikacji dotyczących kultury duchowej ludu polskiego. Zachęcony przez Wójcickiego i Dobrzyńskiego do poszukiwania melodii, których w opublikowanych prcach było niewiele, udał się na pierwszy „połów na większe rozmiary dokonany w r. 1839 w Wilanowie [który] dał mi już spory zasób nader ciekawych motywów i popchnął do dalszych poszukiwań na tym polu”.

Pierwsze wiejskie eskapady Kolberga były jednak bardziej wycieczkami krajoznawczymi czy wypadami grupki artystów w wiejskie ustronia, aniżeli przedsięwzięciem badawczym. Romantyków ciągnęło do ludu, owej skarbnicy starożytnych tradycji, nieskażonych zmianą i kosmopolityczną modą, jakiej doświadczała kultura wysoka.

Kolberg jeździł w najbliższe okolice Warszawy, aby, jak notował po latach, „świeżym, ożywczym na wsi odetchnąwszy powietrzem, zaczerpnąć też i świeżej melodii z tryskającego tam bezustannie narodowej muzyki źródła”.





→ W wyprawach towarzyszyli mu: Józef Konopka, Walenty Zakrzewski i Emil Jenike. Później jeździł także „razem z T. Lenartowiczem, śp. Norwidem [Ludwikiem, bratem Cypriana], śp. Ign. Komorowskim, jak niemniej z malarzami: W. Gersonem, śp. Karolem Markonim i śp. Bratem moim Antonim”. O ile jednak towarzysze tych wypraw łaknęli przede wszystkim kontaktu z naturą i wrażeń z tym związanych, Kolberg od początku podjął się dokumentowania twórczości muzycznej chłopów. Z każdego wypadu na wieś przywoził nowe materiały.

Zapisywał głównie melodie, którymi, jak to ujmowała śledząca jego peregrynacje „Biblioteka Warszawska”, „pragnie oznaczyć i wykazać charakter muzyki słowiańskiej”. W roku 1840 posiadał już ponad sześćset zapisanych pieśni, które postanowił wydać drukiem. Szybko jednak okazało się, że w Warszawie cenzura absolutnie na to nie zezwoli. Mimo iż polskość tych pieśni kamuflowało określenie „słowiańskość”, nie pozostało nic innego, jak spróbować szczęścia w Poznaniu, gdzie zainteresowanie tym materiałem wyraził miejscowy wydawca Jan Konstanty Żupański.

Zbieracz melodii

Pod koniec 1842 r. ukazał się pierwszy tzw. „poszyt” dzieła „Pieśni ludu polskiego”; ostatni, piąty – trzy lata później. W przeciwieństwie do późniejszych prac Kolberga, ta miała charakter dzieła raczej muzyka-artysty aniżeli muzyka-rejestrowa. Jej celem było sprowokowanie zainteresowania muzyką ludową, a także dostarczenie „tworzywa” ówczesnym kompozytorom. Dlatego wszystkie melodie były opatrzone akompaniamentem fortepianowym.

O tym wielce niedoskonałym opracowaniu, które spotkało się z krytyką, warto wspominać dlatego, że było ono ledwie zwiastunem o wiele potężniejszego Kolbergowskiego przedsięwzięcia. Mowa o opracowaniu systematyki polskich pieśni ludowych poprzez zestawienie i porównywanie wariantów melodycznych tych samych pieśni z różnych okolic w kraju. Celem było uchwycenie właściwości regionalnych muzycznego folkloru Polski przedrozbiorowej.

W tym duchu jest utrzymany potężny tom wydany w Warszawie w roku 1857, a zatytułowany analogicznie jak poznański: „Pieśni ludu polskiego”. Jak ustaliły znawczynie dorobku Kolberga, Elżbieta Millerowa i Agata Skrukwa, przed zakończeniem druku „Pieśni...” Kolberg przebadził kilkadziesiąt wsi na terenach objętych granicami Królestwa Polskiego, wypuszczał się także często poza granice zaborowe: do Krakowa, Mogilan i Modlnicy, które później zresztą staną się życiową przystanią badacza.

.....

U „przyjaciół” na prowincji

Jak się wydaje, wyprawy te miały skutek dość niespodziewany, jako że zaowocowały kolejnym wielkim projektem naukowym, z którym zresztą Kolberg kojarzy się przede wszystkim do dziś. Chodzi oczywiście o plany związane z wszechstronną dokumentacją kultury ludowej ziem dawnej Rzeczypospolitej w formie panoramicznej serii monografii regionalnych. Zaczyna się trzeci etap życia Oskara Kolberga – ludoznawcy.

Jako pierwsza ukazuje się niepełna, wielce fragmentaryczna monografia regionu sandomierskiego (1865), dalej dwutomowe „Kujawy” (1867 i 1869), o wiele bardziej dojrzałe i oparte na szerszym materiale, wreszcie uważane za modelowe dla wszystkich innych, czteroczęściowe „Krakowskie” (1871-75).

Kolberg wędruje niezmiernie w każdej wolnej chwili – bada, apeluje, szuka sprzymierzeńców, zarabia pisaniem hasel do Encyklopedii Orgelbranda, zajmuje się sprawami wydawniczymi, poszukuje prenumeratorów na istniejące i planowane tomy monografii. Po roku 1857 udaje się na Kujawy, w okolice Łomży, Augustowa, Suwałk, Lublina, Chełma i Zamościa. W roku 1862 odwiedza Wołyń, wielokrotnie powraca do Wielkopolski, w okolice Krakowa, w Tatry; bywa w Szczawnicy, w Bardyjowie, okolicach Przemyśla i Lwowa. Marząc o podjęciu się w wolnej chwili badań nad muzyką Słowian południowych, podróżuje nawet do Lublany, Zagrzebia, Triestu i Wenecji.

Kolberg był w pełnym tego słowa znaczeniu łowcą-zbieraczem materiałów wszelakich; wybór określonych wsi nie był dyktowany jedynie względami naukowymi, ale wynikał najczęściej z pragmatycznej kalkulacji. Pojawiał się tam, gdzie mógł liczyć

na życzliwych przyjaciół i sponsorów, znajomych i pasjonatów „rzeczy ludowych”. Badania prowadził sam, zarówno udając się do chłopów na wieś, jak i przepytując ich cierpliwie na dworach, a gdy wyjeżdżał, drogą listowną uzupełniał własne zapisy terenowe, wysyłając pytania do osób, które zarażone ideą, były skłonne pomóc w wyjaśnieniu rzeczy niedopowiedzianych. Takie wieloletnie kontakty można prześledzić w korespondencji Kolberga związanej z badaniami na Kujawach, w Lubelskiem, Chełmskiem, Pokuckiem i Sanockiem.

Idea życia

W roku 1861 Kolberg porzuca pracę urzędnika w Dyrekcji Dróg i Mostów i postanawia zajmując się wyłącznie badaniami terenowymi. Liczy na to, że zdoła się utrzymać z pracy literackiej, a więc pisanie do dzienników, pism ilustrowanych, wspomnianej wcześniej Encyklopedii. To wszystko sprzyja ostatecznej krystalizacji idei wydawania regionalnych monografii folklorystyczno-etnograficznych pod wspólnym tytułem „Lud, jego zwyczaj, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”. Perspektywę zaś najogólniejszą ujawnia wspólny dla serii podtytuł: „Materiały do etnografii słowiańskiej”.

Aby zrozumieć sposób myślenia Kolberga, konieczne trzeba odwołać się do listu, który w 1867 r. napisał do Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, a w którym wskazuje na trajektorię dochodzenia do ostatecznej życiowej idei.

Pisze tedy przeszło pięćdziesięcioletni badacz: „Przez lat 30 chwile od obowiązków powołania mego wolne poświęcałem szczegółowemu badaniu ludu naszego. Z początku zwróciłem uwagę na jego śpiewy, których znaczną zebrałem i ogłosiłem ilość. Widząc, że takowe wiążą się częstokroć z obrzędami, bez opisanie których stałyby się niezrozumiałymi, postanowiłem rozszerzyć ramy prac moich, wciągając do nich opisy, a nadto cytując warianty i wersje z różnych stron pozyskane dla porównania ich między sobą. Gdy i opisy niejedną moralną nicią łączą się z baśniami, gadkami i przysłowiami ludu, więc i te ostatnie śledzić i wciągać należało do moich zbiorów i oddać je w prostocie i nieskażoności (dla użytku filologów), tak pod wzglę-

dem obrazów, jak i mowy, i sposobów wypowiedzenia się. Gdy wszystkie owe objawy, lubo duchowej natury, mają ścisły i z fizycznością związek, więc opisałem ludu postać, szatę, zajęcia gospodarcze, mieszkanie itp. Ogrom nasuwających się i już zgromadzonych materiałów nakazał mi podzielić takowe na części, z których każda pewną zaokrągloną stanowiłaby całość, łatwą do przejrzania i zbadania szczegółowego. Każda tedy seria opisuje właściwości pewnej okolicy. Im więcej seryj takich wyjdzie na widok publiczny, tym zupełnie narysuje się wizerunek ogólny narodu”.

Folklor w działach

„Lud...” stał się jednym z pierwszych w Europie modeli monografii etnograficznej. Choć sam Kolberg miał świadomość, że właściwie dostarcza tylko podstaw dla przyszłej etnografii, której trzeba „rozwinąć materiały”. Własną pracę określał tedy skromnie, że „niczym prawie jeszcze innym nie będzie, jak skrzętnym ich nagromadzeniem. Przede wszystkim postanowiłem sobie takowe zabytki uporządkować i usystematyzować, nim się do ich opracowania i dalszych wniosków przejść będzie mogło”.

We wszystkich tomach „Ludu...” głównym tematem zainteresowań badacza pozostaną pieśni i muzyka ludowa. Nie jest jednak prawdą, że u Kolberga lud wyłącznie „śpiewa i tańczy”, jak się niekiedy niesprawiedliwie to przedstawia... Gdy bowiem przyjrzymy się zawartości i strukturze 33 tomów, dostrzeżemy, że za wyszczególnieniem dziedzin kultury ludowej zawartym w tytule kryje się pewna struktura, sekwencja przedmiotowa porządkowania materiału.

Najpierw mamy więc charakterystykę społeczno-psychologiczną

mieszkańców regionu, cechy ich kultury materialnej i związany z nią sposób pracy – Kolberg umieszcza to w dziale „Kraj”. Dalej idą zwyczaj (dorożne i zawodowe), obrzędy związane z trzema etapami życia człowieka (narodziny, małżeństwo, śmierć). Po nich następują pieśni z ich gatunkowym podziałem i dokumentacją melodyczną; następnie tańce, potem cała możliwa sfera wierzeniowa. Osobny dział tworzy literatura ustna, także podzielona na gatunki (opowieści, legendy, bajki, gadki, anegdota i przysłowia). Dwa ostatnie działy to gry i zabawy dzieci oraz charakterystyka językowa mieszkańców regionu. Mamy tu więc, wielce jeszcze wybiórczy, typowy etnograficzny rozbiór kultury na jej części: materialną, społeczną i duchową.

Wszystkie źródła Kolberga

Podobno szczęśliwi lat nie liczą. Jeśli więc założyć, że Oskar Kolberg tworząc „Lud...” realizował życiową misję i *idée fixe* jednocześnie, zdumiewa, że starzejący się nieuchronnie samotny badacz planował w roku 1869, że jego pełny program badawczy zamknie się w 62 seriach wydawniczych. Ogłosił wprowadzić apel do „łaskawych współobywateli”, aby pomogli w zdobyciu terenowych współpracowników, którzy nadsyłaliby dane z terenu w myśl przygotowanego kwestionariusza – odzew na apel był jednak znikomy.

Kolbergowi pozostała więc przede wszystkim praca własna i wykorzystanie różnych źródeł zastanych. W ten sposób Kolberg korzystał z dostępnych prac ludoznawczych, które znał doskonale, ale wylawiał także szczegółowo na temat kultury ludu z najrozmaitszych innych, nietypowych źródeł. Są

„Autor „Ludu...” miał świadomość, że właściwie dostarcza tylko podstaw dla przyszłej etnografii, której potrzeba „rozwinąć materiały”. Własną pracę określał skromnie, że „niczym prawie jeszcze innym nie będzie, jak skrzętnym ich nagromadzeniem”.



Na sąsiedniej stronie: handel na Rynku Głównym w Krakowie, fot. Walery Eljasz-Radzikowski, pocz. XX w., dwór w Modlnicy, przed 1918 r.

Powyżej: „Lublinianie w dzień weselny”, rysunek odręczny, kolorowany, Publikacja: „Lud...” koniec XIX w. Po prawej: kobieta z Radziszowa, fotografia wizytowa, ręcznie kolorowana. Zakład Fotograficzny Ignacego Kriegera, Kraków, lata 80. XIX w.



to dawna i bieżąca prasa warszawska i prowincjonalna, kalendarze, rzadkie druki i rękopisy staropolskie, literatura podróżnicza, literatura piękna. W ten sposób rozszerzał się chronologiczny zakres „Ludu...” o informacje o folklorze i obyczajowości epok dawniejszych. Paradoksalnie, wartość tych ostatnich materiałów zdolni jesteśmy ocenić dopiero dzisiaj, a erudycja i wiedza Kolberga z dziedziny historii kultury musi imponować także współczesnym.

Nie był jednak Kolberg zdany wyłącznie na siebie. Mimo trudnych, popowstaniowych czasów, zgłosili się do pomocy ochotnicy, którzy z czasem stali się współpracownikami i przyjaciółmi badacza. Warto wspomnieć o trzech z nich: literacie Władysławie Ciesielskim, poecie i etnografie Aleksandrze Osipowiczu oraz komediopisarzu Józefie Blizińskim. Ten ostatni, autor „Pana Damazego”, pomógł folklorystyce w przygotowaniu dwóch tomów „Kujaw”, za co Kolberg odpłacał się pomocą w wejściu dramaturga w świat warszawskiej bohemy i wspomagając chudego literata „pożyczkami paru rubelków”. Bliziński zrewanżował się w dość swoisty sposób, pasując Oskara Kolberga na bohatera swojej jednoaktówki „Marcowy kawaler”, gdzie występuje jako Heliodor.

W Galicji

Prace nad „Ludem...” miały jeden jeszcze, najbardziej trapiący Kolberga aspekt. Chodzi oczywiście o zabiegi i starania u protektorów i mecenasów, towaryzujące jego życiu właściwie od zarania pasji naukowych. Bywało z tym różnie.

Przedstawiciele arystokracji i ziemiaństwa (przypomnijmy: Kolberg wywodził się z inteligencji) wyrażali się zwykle z uznaniem o idei badań, ale raczej nie wspierali ich finansowo. Kwestował zatem Kolberg u władz Królestwa Polskiego, zgłaszał swoją propozycję do towarzystw naukowych w Poznaniu i Krakowie oraz do Zakładu Ossolińskich we Lwowie. Nic nie było go w stanie zniechęcić: badania trwały mimo przeciwności i aż do końca życia Kolberg konsekwentnie realizował swój plan, publikując corocznie po jednym lub kilka tomów „Ludu...” oraz, jak to potem nazywał, „Obrazów etnograficznych”.

Jaśniejszym momentem życia w tym okresie było zaliczenie go w roku 1868 w poczet członków Krakowskiego Towarzystwa Naukowego, z ramienia którego dwa lata później otrzymał zapewnienie, że instytucja ta przyznała odpowiedni zasiłek na kontynuację „Ludu...”. To znacząco wskazywało, że najlepszym rozwiązaniem będzie teraz opuszczenie Warszawy i osiedlenie się w Krakowie na stałe, tylko bowiem tak będzie można efektywnie pracować. Z żalem pożegnał Kolberg ukochaną Warszawę i w 1871 r. osiadł w pobliżu Krakowa, najpierw w Mogilanach, a potem na dobre w Modlnicy, u zbieracza i wydawcy zbioru „Pieśni ludu krakowskiego”, Józefa Konopki.

Posypały się także zaszczycy: w 1873 r. Kolberg zostaje członkiem-korespondentem krakowskiej Akademii Umiejętności, wchodzi w skład Komisji Archeologicznej i Komisji Antropologicznej, zostając w roku 1874 przewodniczącym sekcji etnologicznej tej ostatniej, próbując stworzyć z niej rodzaj ośrodka naukowo-badawczego dla badań kultury ludowej. Projekt do-

czekał się realizacji wraz z ukazaniem się pierwszego numeru periodyku „Zbiór Wiadomości do Antropologii Krajowej”, do którego Kolberg pisywał zresztą regularnie. To tam ukazał się ważny jego tekst „Rzecz o mowie ludu wielkopolskiego”. Nieco później – ciekawostka – Kolberg został nawet członkiem... Stowarzyszenia Dziennikarzy i Pisarzy Portugalskich.

„Cześć Kolbergowi”

Rytm pracy autora „Ludu...” pozostał niezmienny – okres letni poświęcał badaniom i podróżom, resztę roku – na porządkowanie materiału, pisanie i skrzętne zabiegi wydawnicze. Środowisko krakowskie przychylnie przyjęło warszawskiego banitę i progi domów tutejszych – zarówno szlacheckich, jak i inteligentno-naukowych – stały przed nim otworem. Kolberg włączył się w krakowskie życie naukowe, uczestnicząc m.in. w jubileuszu Józefa Ignacego Kraszewskiego (wielkiego admiratora Kolberga), 400. rocznicy śmierci Jana Długosza, organizując wielką wystawę fotograficzną, zjazdy historyczne itd. Z wielką emfazą o dokonaniach ludoznawczych Kolberga wypowiadał się Zygmunt Gloger, co stało się zresztą początkiem akcji na rzecz zorganizowania koncertu, z którego dochód miało przeznaczyć na publikację dalszych prac Kolberga. Rzecz udała się nadzwyczaj, odbyły się nawet dwa koncerty, a organizatorzy zebrali ponad dwa tysiące rubli, co pozwoliło na wydanie kolejnych tomów „Pokucia”.

Wraz z pogorszeniem się stanu zdrowia, mając świadomość, że za życia nie uda mu się wydać nawet połowy

dotąd zebranego materiału, Kolberg zaczął pracować wręcz w szaleńczym tempie, o czym świadczy fakt, że w latach 1882-90 opublikował jeszcze 18 tomów „Ludu...”. W roku 1889 z inicjatywy naukowego i literacko-artystycznego środowiska krakowskiego urządzono Kolbergowi jubileusz pięćdziesięciolecia pracy naukowej pod znamiennym hasłem „Cześć Kolbergowi”. Jak pisał Józef Burszta, „Działo się to wtedy, kiedy ukazało się już 27 tomów »Ludu...« dotyczących dziewięciu regionów etnograficznych kraju. Ze zdumieniem podsumowywano imponujący dorobek skromnego człowieka, który ukończył właśnie 75 lat życia i nadal był bardzo czynny w spiesznym opracowywaniu plonu swojej półwiekowej konsekwentnej pracy badawczej”. Do sali Towarzystwa Strzeleckiego, gdzie miała miejsce główna uroczystość, przybyły takie sławy jak Jan Matejko, Juliusz Kossak i Michał Bałucki oraz kwiat krakowskiego świata literackiego, artystycznego i profesury.



Rok później Oskar Kolberg umiera, zostawiając w rękopisach niemal połowę dorobku, który krytycznie opracowywany jest po dziś dzień. Ponad 80 tomów „Ludu...”, pisma muzyczne i korespondencja są już dostępne w ramach serii wydawniczej „Dzieła wszystkie Oskara Kolberga”. Kto chce wykroczyć poza stereotypowe wyobrażenia o kształcie i charakterze dorobku tego „samotnego ewangelika”, koniecznie musi się nad nim pochylić. Wiedzie on bowiem swoje „życie po życiu”, co już jest jednak osobną opowieścią.

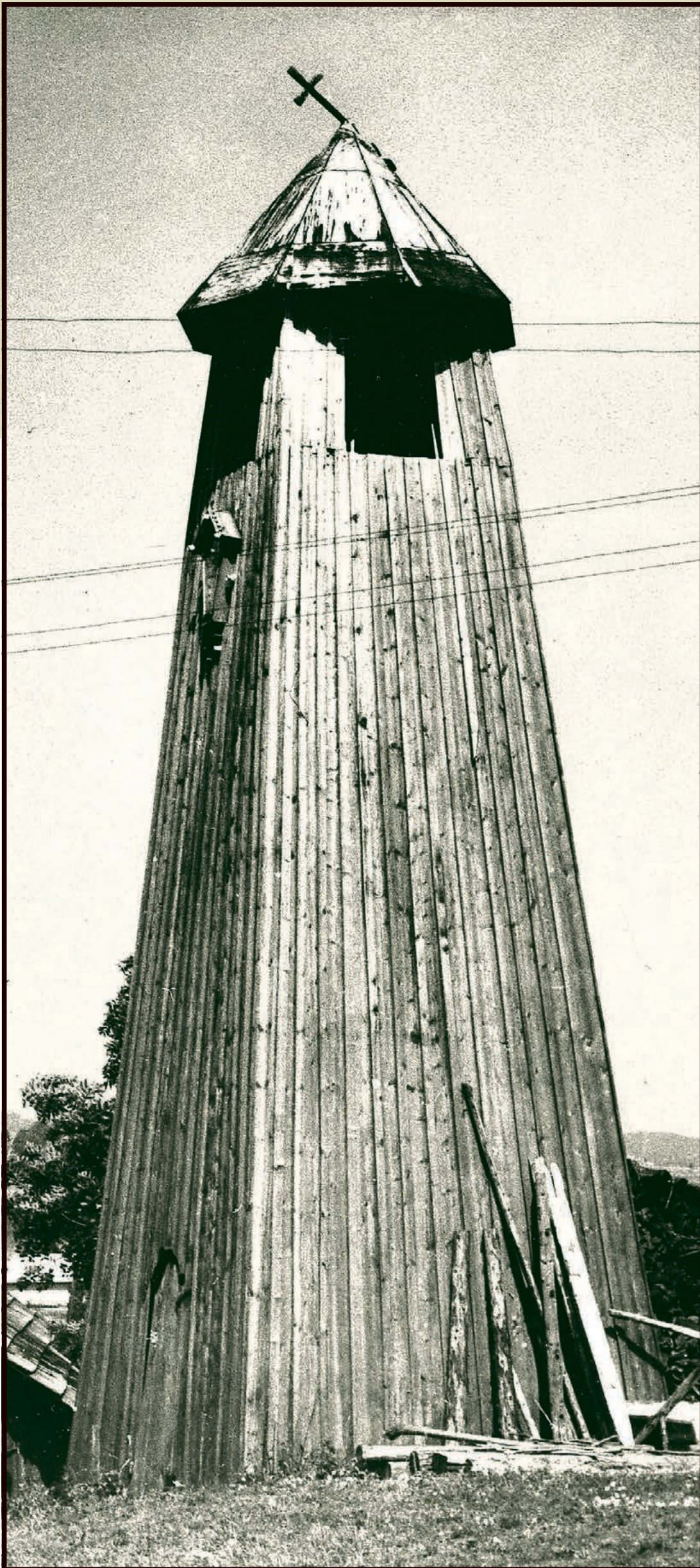
Niepodważalnym faktem pozostaje jednak, że Oskar Kolberg jest twórcą źródłowych podstaw dla etnologii i folklorystyki polskiej, a taki był przecież jego zamiar. W tym, i tylko w tym sensie, jest on fundatorem obu tych nauk. Kolberg był na wskroś pozytywistą, co zresztą, w odróżnieniu od grona przyjaciół, kazało mu po wypadkach lat 1846-48 nadal fascynować się kulturą polskiego chłopca, mimo iż dalece nie odpowiadała ona romantycznym mrzonkom o jej rzekomej szlachetności i „starodawności”.

Resztę, w tym również ocenę i szacowanie wagi tego, czego dokonał, pozostawił potomnym. W jednym życiu zdołał zmieścić właściwie trzy: muzyka, pracę najemną i wielką pasję. I dał radę.

WOJCIECH JÓZEF BURSZTA

Literatura:
J. Burszta „Kultura ludowa – kultura narodowa”, LSW, Warszawa 1974;
R. Górski „Oskar Kolberg. Zarys życia i działalności”, LSW, Warszawa 1970;
E. Millerowa, A. Skrukwa „Oskar Kolberg (1814–1890)” [w:] „Dzieje folklorystyki polskiej 1864–1918”, H. Kapełus, J. Krzyżanowski [red.], PWN, Warszawa 1982;
Przedmowy do różnych tomów „Dzieł wszystkich Oskara Kolberga”, Poznań.

→ Prof. WOJCIECH JÓZEF BURSZTA jest kierownikiem Katedry Antropologii Kultury w Instytucie Kultury i Komunikowania SWPS w Warszawie. Zajmuje się m.in. teorią i filozofią kultury oraz antropologią współczesności. Jest też prezesem zarządu Instytutu im. Oskara Kolberga, wydawcy „Dzieł wszystkich Oskara Kolberga”.



Nasze Macondo

Zbigniew Benedyktowicz:

W czasie naszych studiów Kolberg funkcjonował jako klasyk, więc w zasadzie nie miało się do niego bezpośredniego dostępu. Zainteresowanie jego dorobkiem to był nasz własny, prywatny „zwrot ku źródłom”.

*Po lewej:
dzwonnica loretańska, Czarny
Dunajec, pow. Nowy Targ,
fot. Zdzisław Szewczyk, 1967 r.*

*Na sąsiedniej stronie:
dziewczęta ze świecami w drodze
do kościoła na święto Matki
Boskiej Gromnicznej, Kasinka
Mała,
fot. Zdzisław Szewczyk 1967 r.*

*Odpust w Tuchowie, pow. Tarnów,
fot. Jacek Kubiena, 1972 r.*

DARIUSZ CZAJA: Na początek pamiętny dla mnie obrazek: pierwsza połowa lat 80. ubiegłego wieku, Twoje ówczesne mieszkanie w Warszawie przy Wilczej, salon, a w rogu, na wielkim jak lotnisko blacie stołu stoją ułożone w stosy tomy Kolberga, spomiędzy których wystaje ledwie Twoja głowa. Skąd ten Kolberg wtedy, i to w takim nadmiarze? Czym było jego dzieło dla Ciebie i Twojego pokolenia etnografów?

ZBIGNIEW BENEDYKTOWICZ: Nasze zainteresowanie Kolbergiem zaczęło się trochę wcześniej, jeszcze w latach 70. Prekursorami odkrywania Kolberga byli wówczas Ludwik Stomma, Joanna i Ryszard Tomicczy oraz Jerzy Wasilewski. To była swego rodzaju moda, nie wiem do końca, z czego ona się brała. Był to raczej odśrodkowy ruch wewnątrz środowiska etnografów, o bardzo różnych czynnikach motywujących.

Wydawano w tej socjalistycznej Polsce kolejne tomy „Ludu...” Kolberga pod solenną redakcją Józefa Burszty. I w którymś momencie dowiedzieliśmy się, że ta cała piękna seria została nagle przeceniona! Okazało się, że w tzw. wzorcówce w Pałacu Kultury stoją całe wagony Kolberga. I wchodząc z tyłu, pomiędzy regałami, można było kupić tomy po 5-6 złotych za sztukę. Nikt tego wtedy nie czytał, nikt nie kupował, może poza zespo-



łami muzyczno-tanecznymi czy folklorystami.

Oczywiście odkrywanie Kolberga to nie była tylko kwestia przeceny. Wiązało się to też z pasją kolekcjonerską – także kolekcjonowaniem książek – i odkrywaniem Kolberga jako źródła. Był on czytany źródłowo na równi z takimi pracami jak „Lud białoruski” Michała Federowskiego czy „Lud ukraiński” Antoniego Nowosielskiego. W środowisku etnograficznym kupowanie tych staroci zamieniło się w niemal sportowe współzawodnictwo; to był czas biegania po krakowskich antykwariatach, gdzie leżały jeszcze nadbitki prac Polskiej Akademii Umiejętności, prace Talko-Hryncewicza, nadbitki ze „Zbioru Wiadomości do Antropologii Krajowej” czy „Materiały Archeologiczno-Antropologiczne i Etnograficzne”. Wszystko to zalegało wtedy na półkach.

A więc „Lud...” to nie był dla Was preparat za szkłem, a Kolberg nie był synonimem etnograficznej ramoty?

Ależ skąd! Więcej: wtedy, w końcu lat 70., podczas badań terenowych można jeszcze było znaleźć ludzi, którzy należeli do czasu uchwyconego przez Kolberga. Jeszcze wtedy istniała, była żywa ta struktura mentalna, świadomościowa, wyobraźniowa. Zasluga Ludwika Stommy, który kierował wówczas tzw. badaniami węzłowymi na KUL-u, dotyczącymi wierzeń i wyobrażeń ludowych, było może nie tyle zweryfikowanie Kolberga, ile raczej odsłonięcie żywej obecności minionego, potwierdzenie długiego trwania dawnych struktur mentalnych.

A przecież później, w swojej pracy „Antropologia kultury wsi polskiej

XIX i XX wieku”, był on bardzo krytyczny w stosunku do wyidealizowanej, obrzędowej, przybliżonej kultury ludowej. Podkreślał, jak nieprawdziwy jest obraz wsi polskiej pozbawionej nędzy, brudu, pijanstwa – a to właśnie ten obraz kojarzono powszechnie z wytańczonym i wyśpiewanym ludem à la Kolberg.

Nie mieliśmy poczucia, że to, co spotykamy w terenie, jest radykalnie odmienne od tego, co zarejestrował Kolberg. Kiedy o tym myślę po latach, mam wrażenie, że nasze ówczesne odkrywanie jego dzieła ma coś wspólnego z Marquezem. Czytanie Kolberga kojarzy mi się w sposób niemal naturalny ze „Sto lat samotności”. Kiedy weszło się w te wszystkie wierzenia, w te – jak mówi podtytuł jego „Ludu...” – „obrzędy, gusła, zabawy”, a później zaczęło się czytać Marqueza, to można było odnieść wrażenie, że mamy tu do czynienia z tym samym realizmem magicznym z przełomu XIX i XX w., tyle że przeniesionym do czasów współczesnych.

Wszystkie te przesady, wierzenia, planetnicy, czarownice, południce, utopcy, duchy, sny, wróżby... To wszystko kojarzyło mi się z Marquezem, było takim zanurzeniem się w „rzeczywistość równoległą”. I kiedy zaczynało się czytać fragmenty Kolberga dotyczące wierzeń, fragmenty dotyczące rzeczywistości apokryficznej, to był to podobnie intensywny świat. To było nasze Macondo, ten sam świat cudowności, surrealizmu i magii.

Z perspektywy badacza terenowego wieś z lat 70., z jej zachowaniami, wyobrażeniami i mentalnością,

przeglądała się w Kolbergu jak w lustrze.

Mało tego: Kolberg pomagał rozumieć tamtą tradycyjną rzeczywistość. Oto przykład: pod koniec studiów brałem udział w badaniach terenowych prowadzonych przez prof. Mariana Pokropka przy naszej wschodniej granicy, niedaleko dzisiejszego „Pogranicza” Krzysztofa Czyżewskiego, siedlińska Strumiły i Krasnogrudy Miłosza. W pewnej wiosce nagrywałem z jakimś krawcem litewskie pieśni żniwne. Nie rozumiałem ni w ząb, o co idzie, ale nagrywałem pokornie. On był znany z tego, że wróżył z kart. I podczas tego wywiadu z nim wywróżył mi przyszłość, dokładniej może: wskazał, jak powinienem się zachowywać w życiu. Powiedział mianowicie, że „powiniennem szukać żony nie dalej niż kilometr na południe od domu i żeby nie miała rzadkich zębów”. Żonę znalazłem co prawda 500 kilometrów na południe ode mnie, ale długo nie mogłem zrozumieć, o co chodziło z tymi zębami. I dopiero po latach, szykując się do doktoratu o wizerunku Innego,

Obcego – w tym także wizerunku istot demonicznych – pojąłem, przekazując się przez tomy Kolberga, że rzadkie zęby mają wiedźmy, czarownice. Po latach dopiero zrozumiałem, co on miał na myśli, kiedy mówił o tych zębach. I ja to wyczytałem u Kolberga właśnie!

Wygląda na to, że nie ma racji Andrzej Bieńkowski – zasłużony skądinąd badacz i rejestrator muzyki polskiej wsi – kiedy w liście do redakcji „Kontekstów” wspomina lata 70. i pisze o jakoby „lekceważącym i protekcyjnym tonie środowisk naukowych” wobec Kolberga w tamtym czasie, mówi o odwróceniu się intelektualistów od „chama”. Wasz entuzjazm wobec „Ludu...” pokazuje coś zgoła odwrotnego.

W czasie naszych studiów o Kolbergu uczone głównie w ramach kursu historii etnografii. Funkcjonował jako klasyk, więc w zasadzie nie miało się do niego bezpośredniego dostępu. Za interesowanie Kolbergiem to był nasz własny, prywatny „zwrot ku źródłom”.

To zresztą zbiegało się z proklamowanym wtedy antypozytywistycznym przełomem w humanistyce – warto przypomnieć, że dominował wtedy u nas pozytywistyczny model nauki. Za oknem szara rzeczywistość, schyłek socjalizmu, późny Gierek, cała ta nasza prząsna „nowoczesność”, z fiatami i meblościankami – a my tu zaczynamy nagle cofać się do XIX wieku! Dla naszego pokolenia to był rodzaj „eskapizmu”, ucieczki, gest przekory wobec czasów, w których żyliśmy. Ale równocześnie była to także ucieczka do przodu – Kolberga czytaliśmy przez okulary strukturalizmu, semiotyki, zmierzającej do źródeł fenomenologii! Dlatego ten nasz anachroniczny gest trudno nazwać lekceważącym.

Zresztą, owo ówczesne zanurzenie w Kolbergu miało mocne przełożenie na etnograficzne studia i monografie, by przypomnieć tylko „Drzewo życia” Joanny i Ryszarda Tomickich, „Mit Alkmeny” i „Antropologię kultury wsi polskiej” Ludwika Stommy, „Symbolikę ruchu obrotowego” Jerzego Wasilewskiego...

...i Twoje prace o figurze „obcego” w kulturze ludowej, czy o realnym i symbolicznym domu – bez Kolberga też trudno je sobie wyobrazić.

Dodam coś jeszcze. Nie gdzie indziej, jak właśnie w „Tygodniku Powszechnym” pod koniec lat 70. zaczął się pojawiać cykl „Święta po polsku”, w którym warszawscy etnografowie prezentowali eseje na temat głębokich struktur mentalnych i symbolicznych świąt związanych z kościelnymi rokami obrzędowym. Młodzi badacze śledzili w nich złożoną ideologię kościelnych

„Nasze odkrywanie Kolberga
na przełomie lat 70. i 80. XX w. miało coś wspólnego z Marquezem. Czytanie Kolberga kojarzy się w sposób niemal naturalny ze „Sto lat samotności”. Mamy do czynienia z tym samym realizmem magicznym z przełomu XIX i XX w., tyle że przeniesionym do czasów współczesnych.

Kolberg: Są od Boga dani planetnicy czarni murzyni, aby tęczowemi rogami wyciągali wody z ziemi i morza do góry. Gdy mają ciężkie chmury, pełne wody przeciągają je na powrozach przez lasy, góry. Kiej się powróz urwie planetnikowi, chmura z deszczem upada, musi on zleźć na ziemię, naprawiać swoje powrozy, żeby mógł ze mgłą wzniesić się w górę. Planetnik tylko na granicy może zstępować, nikaj więcej. Gdy czasem jest jaka wieś blisko granicy, to idzie tam na chwilę, żąda mleka od czarnej krowy i jaje od czarnej kury.

DWOK 7, KRAKOWSKIE CZ. III

→ świąt, pokazując ich liczne uwikłania w wątki ludowe i apokryficzne. W cyklu tym znaleźć można teksty o Niedzieli Palmowej, Zaduszkach, święcie Trzech Króli, ale też o Zapustach czy o błogosławionej wtedy (później ogłoszonej świętą) Kindze. Jako materia źródłowa Kolberg zajmował w tych tekstach zawsze eksponowane miejsce.

Charakterystyka Bienkowskiego lepiej chyba pasuje do nas, kolejnego pokolenia etnografów. Nasz dystans – nie do Kolberga oczywicie – ale do wsi, ludowości, tzw. tradycji miał swoje źródło głównie w ówczesnej maniakalnej ideologizacji kultury ludowej, w kłamstwie wyrobów cepeliowskich, w głupkowskim programie „Z Kolbergiem po kraju”, w nakazowej miłości do chłopca i wszystkiego, co ludowe. Pamiętam z tamtych czasów taki rysunek Czeczota: babina w chustce klęczy na rozstajach i modli się do figurki: „I żeby ślag trafił folklor”. No właśnie: ta nasza repulsja nie była przeciwko ludziom, ideom czy wytworom pochodzącym ze wsi, ale przeciwko nadmuchiwanym ideologicznie kukle pod nazwą „folklor”.

Jeśli nawet tak było, to przecież czytaliście – wiem to na pewno – i Kolberga, i piękne książki Kotuli, i powieści Nowaka, i Myśliwskiego, i wielki epos Vincenza... Aby zamknąć ostatecznie temat naszej rzekomej niechęci do Kolberga, dodam jeszcze, że Andrzej Bienkowski nieraz mówił o współczesnym fenomenie powrotu do „korzeni” muzyki ludowej. We wspomnianym liście obwieszcza tryumfalnie, że teraz właśnie jest czas dla Kolberga, że z antykwariatów znikają jego dzieła, że młode pokolenie poluje na jego książki, uczy się grać i śpiewać zapisaną przez niego muzykę.

To wszystko prawda, jak i prawda jest to, że praca wykonywana latami przez Bienkowskiego (i latami niezauważana) zasługuje na najwyższy szacunek. Etnografia była zawsze dyscypliną niszową i może dlatego o tym, czym się realnie zajmowali, niewiele wiadomo było „na zewnątrz”, poza jej obrębem. Tym sobie tłumaczę to dziwne „zapomnienie” o naszej ekscytacji Kolbergowskim „Ludem...”

Warto więc przypomnieć, że ten sławiony dzisiaj powrót do Kolberga miał swój precedens, że już na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego stulecia odkrywaliśmy „Lud...” Kolberga jako coś niezwykle i ożywczego, coś naprawdę żywego.

Ale może nie ma tu jakiegoś dramatycznego sporu. Kiedyś Kolberg interpretowano bardziej słowem, dzisiaj – bardziej czynem. Kiedyś materiały przez niego zebrane funkcjonowały głównie w przestrzeni idei, dzisiaj młodzi nie tyle chcą go analizować, ile przyswajając, aplikować do własnych celów. Jako nośny tekst i jako żywa muzyka Kolberg opuścił uniwersytet i – można by rzec – został na powrót wcielony, zbliżył się do realnego życia. Dzisiejszy Kolberg to przecież głównie świat fonosfery: on teraz swawoli, weseli się, lamentuje, jęczy, tupie i dudni...

W porządku, nie ma wątpliwości, że to, co obserwujemy dziś, to niezwykle intrygujący kulturowo i wciąż trwający proces. Kolejne pokolenie odkrywa dla siebie Kolberga i to może być naprawdę ciekawe! Zmienił się świat, zmieniły się nasze pytania, zmieniła się ideologia. Dziś można odczytywać Kolberga inaczej niż kiedyś. ◆

ROZMAWIALI DARIUSZ CZAJA
I ZBIGNIEW BENEDYKTOWICZ



→ Dr ZBIGNIEW BENEDYKTOWICZ jest antropologiem kultury, wykładowcą w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW oraz pracownikiem Instytutu Sztuki PAN. Redaktor naczelny kwartalnika „Konteksty”, autor m.in.: „Portrety »Obcego«. Od stereotypu do symbolu” (2000).

→ Dr hab. DARIUSZ CZAJA jest antropologiem kultury, redaktorem „Kontekstów”, eseistą i recenzentem muzycznym. Wykładowca w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ. Ostatnio wydał „Znaki szczególne. Antropologia jako ćwiczenie duchowe” (2013).

Powyżej:
majenie chaty na Zielone Świąta,
okolice Krakowa,
okres międzywojenny

Obok: Pucheroki,
Bibice k. Krakowa,
fot. Krystyn Piotrowski, 1966 r.

Na sąsiedniej stronie: prządka
z kądziela,
Dobra, pow. Limanowa,
fot. Leopold Węgrzynowicz,
1916 r.



Teraz właśnie jest czas dla

Kolberga: z antykwariatów znikają jego dzieła, młode pokolenie poluje na jego książki, uczy się grać i śpiewać zapisaną przez niego muzykę. Zmienił się świat, zmieniła się ideologia. Dziś można odczytywać Kolberga inaczej niż kiedyś.



Szlachetne ciotki i siostry Kolberga, czyli o kobietach w antropologii

Kobiety wkraczające w XIX wieku w przestrzeń publiczną wystawiały się na ciężę ze strony tracących monopol kolegów. Musiały się charakteryzować determinacją i uporem, aby nie dać się zniechęcić do swej aktywności.

GRAŻYNA KUBICA

Antropologia jest nauką, w której kobiety jako aktywne badaczki pojawiły się stosunkowo wcześniej i nie musiały walczyć o możliwość zajmowania się tą dyscypliną, jak to bywało w przypadku innych dziedzin. Stało się tak bynajmniej nie ze względu na jakąś specjalną empatię wczesnych antropologów, którzy chętnie przyjęli koleżanki do swego grona. Wymusiła to na nich sama logika badań terenowych. Okazało się bowiem, że etnografowie-mężczyźni nie mieli dostępu do ważnej części każdej rdzennej kultury – do świata kobiet. Z pomocy kobiecej w swej pracy etnograficznej korzystał także Oskar Kolberg.

Przykład z Ameryki

W czasie gdy na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Kolberg realizował swój projekt monografii regionalnych, po drugiej stronie Atlantyku, w Ameryce Północnej, pierwsi antropologowie zaczęli badać plemiona rdzennych

mieszkańców tego kontynentu, później dołączyły do nich także kobiety. Matilda Stevenson towarzyszyła mężowi w czasie wypraw do indiańskich rezerwatów, pomagając w zbieraniu informacji dotyczących kobiet. Były też antropolożki, które samodzielnie prowadziły badania. Legendarna Alice Cunningham Fletcher była pionierką studiów terenowych nad wieloma grupami rdzennych Amerykanów, szczególnie Omaha, a także zwolenniczką reform i edukacji Indian.

Warto podkreślić, że amerykańskie badaczki tamtego okresu były zaangażowane w debatę publiczną nad sytuacją kobiet i używały materiału zebranego w czasie badań do uzasadniania projektów emancypacyjnych we własnym społeczeństwie. Skoro – argumentowały antropolożki – wykorzystując dominujący wówczas idiom ewolucjonistyczny – zachodnia cywilizacja jest najbardziej rozwinięta, dlaczego zachodnie kobiety mają mniej wolności niż ich pierwotne siostry? Szczególnie aktywna na tym polu była Elsie Clews Parsons, która

oprócz prowadzenia wieloletniej pracy badawczej wśród Indian Zuni, pisała artykuły publicystyczne o ważnych problemach własnego społeczeństwa.

Sponsorowała też badania terenowe i zajmowała się popularyzacją dyscypliny. Mogła sobie na to wszystko pozwolić, ponieważ pochodziła z zamożnej rodziny.

Tymczasem wcześniej niż Amerykanki zaczęły badać „swoich Indian”, „swoją lud” badały polskie szlachcianki i przedstawicielki inteligencji. Co ciekawe, podobnie jak ich koleżanki zza Oceanu, pasję badawczą łączyły niejednokrotnie z poczuciem misji społecznej i działalnością edukacyjną, ale nie – jak wiele amerykańskich antropolożek – z aktywnością na rzecz własnej emancypacji.

Pani od obrzędów

Za pierwszą polską etnografką można uznać Marię Czarnowską, która w roku 1817 opublikowała w „Tygodniku Wileńskim” artykuł o zabytkach mitologii słowiańskiej (przetłu-

maczony później na rosyjski). Materiały do pracy zebrała podczas wakacji spędzonych na Białorusi.

O tym doświadczeniu pisała: „będąc czasowie w guberni mohylewskiej (...) w majątku Hubieńszczyzna (...) znalazłam do tego zręczność w bliskim położeniu wioski ode dworu”. Czarnowska opisała w swoim artykule kilka obrzędów: kupały, radawnicy, rusałek i bożka leśnego. Przedstawiła również ludzi, którzy te obrzędy kultywowali, oraz przytoczyła pieśni. Niezwykle interesująco i nowatorsko brzmia jej uwagi metodologiczne. Zbierając materiał w terenie, szybko musiała sobie zdać sprawę z tego, że poznanie kultury i obyczajów innych ludzi i grup społecznych to skomplikowany proces poznawczy. Tak o tym pisała: „Przez wypytywanie się u nich nie można się o niczym dostatecznie pouczyć (...). Trzeba się przypatrywać samym ich obrzędom, i znosząc przy tym rozmaite opowiadania, robić z tego wszystkiego wyobrażenie”. Artykuł Czarnowskiej odbił się szerokim echem. Korzystali z niego filomaci oraz etno-

1814

22 lutego w Przysusze przychodzi na świat Oskar Kolberg.

● **W POLSCE**

Po rocznym oblężeniu przez wojska prusko-rosyjskie kapituluje francuski garnizon twierdzy Głogów; kilka dni wcześniej do Paryża wkracza armia rosyjska. Koniec epoki napoleońskiej

● **NA ŚWIECIE**

Rozpoczyna się Kongres wiedeński, w czasie którego ustalony zostanie polityczny porządek Europy na najbliższe kilkadziesiąt lat. Vuk Karadžić, późniejszy reformator języka serbskiego, wydaje „Srpske narodne pesme”, pierwszy tom zbioru serbskiej muzyki ludowej. Niektóre z pomieszczonych w nim pieśni Goethe porówna potem do Pieśni nad Pieśniami.

1815

Przy Uniwersytecie Jagiellońskim powstaje Towarzystwo Naukowe Krakowskie, z którym w późniejszych latach będzie współpracował **Oskar Kolberg**.

1830

Łukasz Gołębiowski publikuje w Warszawie książkę „Lud polski, jego zwyczaje i zabobony”.

1838

Ukazuje się pierwsze wydanie „Śpiewnika kościelnego” ks. Michała Marcina Mioduszeńskiego.

1839

Fizyk Louis Jacques M. J. M. Daguerre demonstruje członkom Francuskiej Akademii Nauk dagerotypię – pierwszą technikę fotograficzną. Umożliwia ona tworzenie obrazów pozytywowych bezpośrednio na posrebrzanych płytkach z miedzi.

1842

Wobec trudności z drukiem w Warszawie, to w Poznaniu **Oskar Kolberg** publikuje pierwszy „poszyt” „Pieśni ludu polskiego” – opracowania utworów ludowych z akompaniamentem fortepianowym.

● **NA ŚWIECIE**

W Stanach Zjednoczonych pierwszy zorganizowany konwój wozów, liczący około stu wozów, wyrusza tzw. szlakiem oregońskim na Dziką Zachód.

● **W POLSCE**

„Życie snem” Franca Grillparzera oraz „Śluby panięskie” Aleksandra Fredry inauguracyjny pierwszy sezon działalności Teatru Skarbowskiego we Lwowie. Do czasu uzyskania przez Galicję autonomii w ramach Austro-Węgier, teatr będzie zobowiązany do wystawiania sztuk także w języku niemieckim.

1846

Rabacja galicyjska – antyszlacheckie wystąpienie chłopów, którzy w dużej mierze nie poparli rewolucji krakowskiej – przybiera postać pogromów ludności ziemiańskiej, w mniejszym stopniu także urzędników. Najbardziej znanym przywódcą chłopskich oddziałów jest Jakub Szela.

1849

W Paryżu umiera Fryderyk Chopin, w latach 20. XIX w. jeden z gości warszawskiego salonu państwa **Kolbergów**. Obok rozkochanej w muzyce fortepianowej matki Oskara Kolberga, to on był głównym źródłem kompozytorskich aspiracji ojca polskiej etnografii.

→ grafowie, Oskar Kolberg sporządził z niego wypisy.

Co ciekawe, jedyna zachowana relacja o samej Czarnowskiej, autorstwa ziemianina i lekarza interesującego się ludoznawstwem, Stanisława Morawskiego, nie jest zbyt pochlebna. Badaczka została opisana jako „egzaltowana, ekscentryczna, bas-bleu [czyli

zną. Warto przytoczyć następujące wyznanie tego ostatniego, dotyczące kulisów jego małżeństwa: „Wybadanie podań między wiejskimi kobietami szło dla mnie zawsze z wielką trudnością. Uważałem nieraz, że pomoc żony byłaby więcej zręczną i szczęśliwą. Dla tych przyczyn ożeniłem się i szczęśliwy jestem. Moja

„**Uważałem nieraz, że pomoc żony byłaby więcej zręczną i szczęśliwą. Dla tych przyczyn ożeniłem się**” – pisał jeden z prekursorów badań nad Słowiańszczyzną.

sawantka], poetka, literatka, fiksotka”. Ten zapis dowodzi, że kobiety wkraczające w przestrzeń publiczną (i nie tylko) wystawiały się na ciężki ze strony tracących monopol kolegów. Musiały też charakteryzować się determinacją i uporem, aby nie dać się zniechęcić do swej aktywności.

Jak mąż z żoną

Inny typ badaczki reprezentowała Konstancja z Flemingów, żona Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego, prekursora badań nad Słowiańszczy-

towarzyszka przy rządności niemieckiej zna dobrze dialekt rosyjski, bardzo odpowiada mojemu zamiarowi. (...) Korzystam z tego ułatwienia, że żona robi coraz większe postępy w zdobywaniu od wieśniaczek pieśni obrzędowych i podań, przed nią bowiem ustępuje wiejska nieśmiałość, która według mojego doświadczenia tak bardzo jest trudna do pokonania dla badacza mężczyzny”.

W nieco późniejszym czasie zbieraczką folkloru stała się również Emilia Plater, podobnie jak wiele innych szlachcianek z dworów i dworków.



MUZEUM IM. OSKARA KOLBERGA W PRZYSUSZE

Antonina Konopczanka spisywała wywiady prowadzone według wskazówek Kolberga.

Poniżej od lewej:

czesanie lnu na szczeci, Stare Bystre, pow. Nowy Targ, okres międzywojenny; pranie i suszenie przędzy, Stare Bystre, pow. Nowy Targ, okres międzywojenny.

Ludoznawstwo stało się modne, co Zbigniew Jasiewicz tłumaczy tym, że kobiety znajdowały w tej aktywności możliwość realizacji zainteresowań artystycznych i naukowych, a jednocześnie działalność ta miała uzasadnienie społeczne i patriotyczne.

„**Powiedzcie mnie powiastkę**”

Sam Oskar Kolberg w pracy nad swoimi monografiami regionalnymi korzystał z pomocy wielu kobiet, przede wszystkim ziemianek. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo ograniczone byłoby jego dzieło, gdyby nie ten kobiecy wkład.

Jedną z jego najważniejszych współpracowniczek była Antonina Konopczanka. Antonina była siostrą Józefa Konopki, właściciela podkrakowskich Mogilan, w którego gościnie etnograf spędził kilkanaście lat. Konopczanka spisywała wywiady prowadzone według wskazówek Kolberga. Co ważne – notowała wszystko bardzo szczegółowo, razem z pytaniami i odpowiedziami. Dobry wyobrażenie jej metody terenowej daje poniższy przykład:

„Konopczanka: »Moje kobieciny, powiedzcie mnie jaką powiastkę«. Skotaczka: »Ej, cóżby to?«. Konopczanka: »O potępieńcach«. Elżbieta: »Ja wiem, niech Wielmożna Pani słucha«. (Po tym dialogu następuje opowieść, po której badaczka dopy-



1857

Przełomowy rok dla naukowej działalności **Kolberga**. W Warszawie ukazują się „Pieśni ludu polskiego” – tom, który zawiera zbiór 400 ballad i melodii tanecznych bez opracowania harmonicznego (reedycja w ramach powojennego wydawnictwa Dzieł Wszystkich Oskara Kolberga jako tom 1).

● **W POLSCE**

Cztery lata po skonstruowaniu lampy naftowej, w Kłęzianach koło Nowego Sącza Ignacy Łukasiewicz otwiera pierwszą na świecie rafinerię, w której produkowane będą: nafta, oleje smarne i asfalt.

● **NA ŚWIECIE**

Francuski zecer Édouard-Léon Scott de Martinville opatentowuje tzw. fonograf, pierwsze na świecie urządzenie do zapisu dźwięku. W tym samym roku rozpoczyna się druga wojna opiumowa między Chinami a Wielką Brytanią i Francją.

1865

Oskar Kolberg publikuje monografię „Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tańca. Serya 1. Sandomierskie” – pierwszy z kilkudziesięciu tomów publikacji przedstawiającej kulturę ludową na ziemiach polskich.

● **W POLSCE**

W ramach represji po powstaniu styczniowym władze carskie zsyłają setki Polaków – w tym przedstawicieli nauki i inteligencji – na Syberię. Jest wśród nich przyrodnik i lekarz Benedykt Dybowski, który w tym roku rozpoczyna badania jeziora Bajkał i jego fauny.

● **NA ŚWIECIE**

Amerykańska Izba Reprezentantów przyjmuje 13. poprawkę do konstytucji kraju, która znosi niewolnictwo; w maju wojskom Unii poddają się ostatnie oddziały Konfederatów – kończy się wojna secesyjna.

1872

W Krakowie zostaje powołana Akademia Umiejętności. Rozpoczyna się budowa transandyjskiej linii kolejowej wiodącej z Limy do Oroya – odcinek projektuje polski inżynier Ernest Malinowski.

1883

Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski – uczeni z Uniwersytetu Jagiellońskiego – dokonują skroplenia powietrza, tlenu, azotu i tlenku węgla metodą kaskadową.

1888

W Rochester w Stanach Zjednoczonych zostaje skonstruowany pierwszy aparat fotograficzny marki KODAK – łatwość robienia zdjęć w terenie związana z tym wynalazkiem została wkrótce doceniona przez antropologów.

1890

3 czerwca w Krakowie umiera Oskar Kolberg.

● **W POLSCE**

Miesiąc po śmierci Kolberga na Wawelu zostaje pochowany Adam Mickiewicz.

● **NA ŚWIECIE**

Dymisja Ottona von Bismarcka z urzędu kanclerza Rzeszy, początek polityki światowej ekspansji Niemiec (Weltpolitik).

tuje jeszcze o konkretne kwestie. Jak wyjaśniają „kobiecinę”, potępieniemi są często Moskale, bo ich „bylejako” ochrzczono.)

Niezależną badaczką i etnografką była Stefania Ulanowska, która opracowała kilka monografii wsi i napisała kilkadziesiąt artykułów naukowych. W dowód uznania w 1894 r. Komisja Antropologiczna Akademii Umiejętności przyjęła ją do grona swych członków – wybór ten nie został jednak niestety zatwierdzony przez władze Akademii. Ulanowska była też autorką utworów literackich, w których wykorzystywa-

ła swą wiedzę dotyczącą folkloru. Stanowiło to zresztą częstą praktykę wśród pierwszych pokoleń etnografek, które chętnie łączyły działalność badawczą z pisarstwem, nauką ze sztuką.

Nie tylko Skłodowska-Curie

W kontekście pierwszych polskich etnografek warto też wymienić Reginę Lilientalową, uczennicę Ludwika Krzywickiego na Uniwersytecie Łatającym, a później współpracowniczkę

etnografa Jana Karłowicza i Icchoka Lejbusza Pereca, jednego z twórców i klasyków literatury jidysz. Była ona pierwszą poważną badaczką folkloru żydowskiego, której prace publikowała Polska Akademia Umiejętności.

Inną studentką Łatającego Uniwersytetu była Maria Czaplicka, badaczka międzynarodowego formatu. Kontynuowała naukę w Anglii (w tym samym czasie co Bronisław Malinowski). Poprowadziła ekspedycję jeniejską na Syberię, a później została pierwszą kobietą-wykładowczynią antropologii w Oksfordzie. Musiała opuścić to stanowisko, gdy

z wojny powrócił mężczyzna, którego miejsce zajęła. Starła się o warsztat pracy w odrodzonej ojczyźnie. Niestety, bezskutecznie, nad czym bardzo bolała. W tamtych czasach jedyną kobietą, która mogła w Polsce zasiąść za uniwersytecką katedrą, była Maria Skłodowska-Curie.

Udało się to dopiero Cezarii Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowej, która była pierwszą kobietą na katedrze etnografii, najpierw na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, później – na Uniwersytecie Warszawskim. ♦

Korzystałam z referatów Ewy Antyborzecz, Zbigniewa Jasiewicza i Andrzeja Rataja, wygłoszonych podczas konferencji „Kobiety z wyobraźnią. Etnograficzne i socjologiczne pisarstwo kobiet”, która odbyła się w Muzeum Etnograficznym w Toruniu w 2012 r.

→ Dr GRAŻYNA KUBICA jest antropolożką społeczną. Pracuje w Instytucie Socjologii UJ. Autorka m.in. książki „Siostry Malinowskiego, czyli kobiety nowoczesne na początku XX wieku” (2006). Właśnie ukończyła biografię antropologiczną Marii Czaplickiej.

REKLAMA



Muzeum im. Oskara Kolberga

w Przysusze jest oddziałem Muzeum Wsi Radomskiej w Radomiu. To jedyne muzeum na świecie, które gromadzi, chroni i upowszechniania wiedzę o osobie Oskara Kolberga. Prezentuje wystawę stałą o życiu i twórczości wielkiego Polaka. Od 2002 r. Muzeum w Przysusze jest organizatorem ogólnopolskiej Nagrody im. Oskara Kolberga „Za zasługi dla kultury ludowej”.

Z okazji Roku Kolberga muzea w Przysusze i Radomiu podjęły się wielu zadań promujących postać wielkiego etnografa i folklorysty. 21 lutego 2014 r. odbył się już koncert inauguracyjny Rok Kolberga w Przysusze.

Szczególnie polecamy

Wydawnictwo „Oskar Kolberg 1814-1890”. Książka jest bogato ilustrowana, w sposób popularny przedstawia współczesny stan badań nad osobą Oskara Kolberga.

Witrynę internetową Nagroda im. Oskara Kolberga „Za zasługi dla kultury ludowej”. Witryna będzie miała charakter podręcznego vademecum o Nagrodzie. Zostanie uruchomiona w połowie 2014 roku.

Wystawy

Muzyka tradycyjna i instrumentarium ludowe z regionu radomskiego Radomscy laureaci Nagrody im. Oskara Kolberga. „Za zasługi dla kultury ludowej”

Oskar Kolberg (1814-1890) – kompozytor, folklorysta, etnograf. Wystawa planszowa przewidziana do udostępniania.

Warsztaty edukacyjne dla dzieci i dorosłych

Kim był Oskar Kolberg? Czym zajmuje się etnograf i folklorysta?

Wykłady, prelekcje

Oskar Kolberg i jego rodzina w kulturze polskiej.

Spotkania Kolbergowskie w Muzeum

Kobiety w kręgu przyjaciół i współpracowników Oskara Kolberga

Muzyczne niedziele w Muzeum

Konkursy plastyczne

Szczegóły oferty dostępne są na stronie: www.muzeum-radom.pl



NIEZWYKŁA CODZIENNOŚĆ



www.muzeum-radom.pl



Jan Snihur, lirnik,
Szlachcice (dawny pow. Tarnopol),
Ukraina, fot. 1925 r.

Muzyka na żywo

Kolberg pozostawił nam swego rodzaju „fotografie” kulturowe – migawki, które zatrzymały tysiące pieśni i melodii obecnych w codziennym życiu w dynamicznym, zmiennym użytkowaniu.

PIOTR DAHLIG

Oskar Kolberg, najbardziej pracowity etnograf Europy, przez całe życie pozostał również muzykiem. Wykształcony w tej dziedzinie w Warszawie i Berlinie, od końca lat 30. XIX wieku utrzymywał się m.in. z lekcji gry na fortepianie. Kiedy w wieku 57 lat przeniósł się w Krakowskie, również nie tracił z pola widzenia muzyki profesjonalnej. Skomponował kilka obrazków scenicznych, pieśni solowe i utwory fortepianowe. Do późnych lat swojego życia układał miniatury taneczne na fortepian, przyczyniając się m.in. do rozwoju muzykowania domowego w ówczesnej epoce.

Z premedytacją podjętą bezżenność (któraż kobieta zniósłaby ustawicznie i nie całkiem bezpieczne wyprawy na wieś, życie wypełnione w stu procentach pracą i opędzanie tylko najniezbędniejszych potrzeb materialnych?) kompensował chęcią przysłużenia się krajowi. „Spisanie przeszłości dla przyszłości” uznał Kolberg za swą misję, gdyż kulturę ludu, w jej zewnętrznych

przejawach, uważał za świat powoli odchodzący.

Do głębszych motywów jego pracowitości zaliczyłbym też sprawy religijne i narodowościowe. Tak jak Chopina uwieralo to, że nie uczestniczył czynnie w ruchu niepodległościowym, tak polem osobistego namysłu Kolberga było przeświadczenie o niepełnej przystawalności (i przynależności) do etnosu i etosu polskiego. Urodzony z matki Francuzki (katoliczki) i ojca Niemca (protestanta), ochrzczony w kościele katolickim w Przysusze, należał do szczególnie i zasłużonego kręgu Polaków z wyboru.

Ratować „starożytności”

W centrum uwagi, wzorem romantyków, stawał zawsze Kolberg pieśń ludową, owo muzyczne objaśnianie świata. W muzycznej strukturze widział zwierciadło życia, nagromadzenie wydarzeń historycznych i nawarstwienie doświadczeń społecznych. Początkowo, zapewne pod wpływem poglądów Johanna Gottfrieda Herdera, planował poprzez swoje badania „wykazać charakter muzyki słowiańskiej”. Potem stopniowo odchodził od tej perspektywy na rzecz muzycznej etnografii poszczególnych regionów.

Cała praca Kolberga na ziemiach I Rzeczypospolitej przedziwnie synchronizowała się i harmonizowała z tym, co się działo na kontynencie europejskim. Kolberg znalazł prace Vuka Karadžicia (1787–1864), pioniera folklorystyki serbskiej. Ważna była dla niego też pierwsza monografia i antologia pieśni lużyckich Jana Smolera („Pjesnički hornych a delnych Lužiskich Serbow”, 1841–43). Ponadto, w 1837 r. w Bibliotece Oksfordzkiej odnaleziono średniowieczną „Pieśń o Rolandzie”. Odkrycie tego eposu przyczyniło się nie tylko do powołania francuskiego Towarzystwa Etnologicznego (1839), ale i zainspirowało pod-

Kolberg: Co do sposobów zbierania i zdobywania tych pieśni, tyle tylko powiem, że niemało przy tym zaznałem trudności, a nawet przykrości. Trudności te leżały w nieufności naszego ludu, w niechęci, jaką ma do powierzania swoich pieśni obcemu (tak nazywa każdego w paletocie lub surducie), w jego niecierpliwości okazywanej przy powtarzaniu kilkakrotnym jednejże zwrotki itp.

DWOK T. 64, KORESPONDENCJA OSKARA KOLBERGA,
CZ. I (1837–1876)

jęcie systematycznych badań regionalistycznych. Wkrótce opublikowano pierwszą antologię francuskiej poezji ludowej i zaczęto wydawać kolekcje pieśni z nutami (Teofil Dumersan, Hipolit Colet, „Śpiewy i pieśni popularne we Francji”, 1858–59). Pracę ludoznawczą we Francji wspierały zarówno motywy narodowe, jak i fascynacja egzotyką zamierzchłej, antycznej lub przedhistorycznej przeszłości.

Dominujący w Niemczech pierwszej dekady XIX wieku rozkwit filozofii narodu – z jej przekonaniem, że wielkość narodu wyraża się m.in. w stopniu przywiązania do własnego języka i kultury – miał wyraźny odcień antynapoleoński. Sformułowano wtedy „ideę ratowania” dziedzictwa kultury (tzw. „starożytności”). W latach 40. XIX wieku pojawiają się w Niemczech liczne prace regionalistyczne, których ważnym składnikiem staje się także zapis nutowy. Owa idea „misji ratunkowej” oddziaływała silnie również poza obszarem Niemiec. Na Wyspach Brytyjskich zaowocowała nowymi kolekcjami pieśni angielskich i irlandzkich, a także pierwszymi zbiorami walijskimi.

Idea ratunkowa znalazła także swoją specyficzną realizację w Rosji. Recytowaną śpiewnie przez opowiadaczy epikę (stariny, byliny – dosłownie „stare dzieje”, pieśni epickie) publikowano tam, począwszy od 1804 r. przez cały wiek XIX. W Austrii początki systematycznej akcji zbierania pieśni i prac ankietowo-etnograficznych datują się na lata 1811–19. Dla wiedeńskiego Towarzystwa Przyjaciół Muzyki pieśni ludowe (wraz z odpowiadającymi im tekstami oraz opisami tańców) zapisywali tak nauczyciele, jak i księża, ziemianie czy urzędnicy, a zbiory Franza Tschischki i Maxa Schottky’ego z roku 1819 (z regionu Wienerwald) opracowywał na fortepian sam Ludwig van Beethoven. Z 1819 r. pochodzą też najwcześniejsze zapisy melodii ludowych z tekstami polskimi (z okolic Skoczowa), wyko-

nane w związku z akcją Towarzystwa Przyjaciół Muzyki.

Również w krajach bałtyckich w I połowie XIX wieku odkrywano eposy narodowe zachowane w środowiskach wiejskich. W 1831 r. z pomocą Fińskiego Towarzystwa Literackiego Elias Lönnrot zapisał w Karelii zręby fińskiej „Kalevali”. Z kolei Estończycy odnaleźli w toku własnych badań terenowych swój epos „Kalevipoeg”. W Danii, w czasie zbliżonym do prac Kolberga, Svend Grundtvig opublikował „Danmarks gamle Folkeviser” – siedem tomów pieśni (ballad) duńskich, zwracając szczególną uwagę na sagi nordyckie. Powstały też wówczas pierwsze większe zbiory pieśni norweskich.

„Gminne” pieśni dla elit

Autor „Ludu...” i kompozytor pierwszych stylizowanych kujawiaków urodził się jeszcze w czasach, gdy synowie naśladowali ojców. Krzysztof Juliusz Kolberg (Colberg), wybitny kartograf, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wpłynął zapewne na ewolucję warsztatu Oskara Kolberga w stronę systematycznych badań etnograficzno-muzycznych, dyktowanych geografiami i podziałami historycznymi. Syn w pewnym sensie sublimował osiągnięcia ojca. Atlas muzyczno-etnograficzny ziem polskich sięgający granic Rzeczypospolitej z 1772 r., rozbudowany o komentarz kulturowo-historyczny, stanowił dla Oskara ideał, do którego przybliżał się stopniowo. W latach 40. XIX wieku rozpoczął od opracowania pieśni ludowych z własnym akompaniamentem fortepianowym. Następnie w 1857 r. została wydana monografia gatunkowa, głównie ballad, w postaci „Pieśni ludu polskiego”. Wreszcie, wraz z premierą „Sandomierskiego” (1865) i „Kujaw” (1867), zrealizowana została idea monografii regionalnej.

Pokutujący stereotyp o krytycznym nastawieniu Fryderyka Chopina do działalności Kolberga dotyczył rodzaju układanego akompaniamentu do melodii ludowych. Opinia ta, wyrażona przez kompozytora w liście do rodziny z 1847 r., dotyczyła jednak tylko pierwszego okresu działalności Kolberga, z lat 40. XIX wieku. Dalszych postępów pracy Kolberga

„To dzięki Kolbergowi XIX wiek stanowił kulminację wydawania drukiem „śpiewów gminnych”, z epoki jeszcze „przedfonograficznej”.



Po lewej:
Koesender – taniec
kaszubski,
lata 60-70 XX w.

Po prawej:
dudziarz
Stanisław Budz-
Mróz (1858–1943)
z Poronina, okres
międzywojenny

Poniżej:
Zuzanna Kawulok
gra na rogu,
Istebna,
fot. Seko 1974 r.



Chopin nie mógł poznać. Krytycyzm Chopina był usprawiedliwiony przede wszystkim w odniesieniu do strony harmonicznego, gdyż wydane w 1842 r. w Poznaniu pierwsze zeszyty pieśni trudno uznać za kompozycje. Były to tylko harmonizacje zasłyszanych i „rzuconych na papier” jednogłosowych pieśni ludowych, polskie echo europejskiej mody użytkowego harmonizowania melodii ludowej.

Z kolei kujawiaki Kolberga są dosłownym cytatem jednogłosowej melodii skrzypcowej harmonizowanej w sposób konwencjonalny – i w istocie mało wyszukany. Jednak celem wydawniczym była właśnie mozolna popularyzacja ustnej tradycji muzycznej wśród szerokich kręgów społecznych i początkujących pianistek. Istnienie akompaniamentu stanowiło warunek wydawców pieśni „gminnych” w pierwszej połowie XIX wieku. Kolberg, zgodnie z duchem narodowym tamtego okresu, chciał uczynić fortepian narzędziem inicjacji narodowej.

Obrazy etnograficzne

Muzyka określana dziś mianem tradycyjnej była w XIX wieku dobrem powszechnym zdecydowanej większości mieszkańców ziem polskich pod zaborami. Przeważały społeczności wiejskie i rolnicze, z natury gospodarowania i wskutek stałej zależności od przyrody przywykłe i skłonne do konserwatywności, którego fundamentem jest prawo zwyczajowe, a na polu muzyki (i tańca) – przekaz i obieg ustno-pamięciowy.

Kolberg, któremu przyświecała idea kompletności atlasu etnograficznego I Rzeczypospolitej, pozostawił nam w swych monografiach swego rodzaju „fotografie” kulturowe. To migawki, które zatrzymały tysiące pieśni i melodii instrumentalnych obecnych i ponawianych w codziennym życiu, w dynamicznym, zmiennym użytkowaniu. Kolbergowski opis porządkuje te obrazy. Jego monografie regionalne otwierają teksty krajo- i kulturoznawcze. Następnie pojawia się repertuar pieśni cyklu dorocznego, rodzinnego oraz tych w obiegu wolnym od cyklicznych uwarunkowań (pieśni powszechne), wreszcie – zbiór melodii instrumentalnych (porządkowanych według rodzaju taktu dwu- lub trzmiarowego). Przebogate monografie Kolberga są stale intrygującą lekturą

przybliżającą świat, który historycznie jest od nas już coraz bardziej odległy.

To dzięki Kolbergowi XIX wiek stanowił kulminację wydawania drukiem „śpiewów gminnych”, z epoki jeszcze „przedfonograficznej” (pierwszych nagrań folkloru indiańskiego w USA dokonano w 1890 r., w roku śmierci Kolberga). XIX stulecie było świadkiem znaczących przemian społeczno-cywilizacyjnych. Także na ziemiach polskich społeczności chłopskie zaczęły stopniowo modyfikować warunki życia i kształtować nowe zachowania (doszło np. do zmiany postawy wobec pożaru – od pasywności wobec ognia do aktywnego gaszenia – co wiąże się z tworzeniem ochotniczych straży pożarnych, *nota bene* jednym z niezliczonych przykładów tolerowanej przez zaborców samoorganizacji polskiej).

Zmiany, do których przyczyniło się uwłaszczenie chłopów, polegały m.in. na tym, że czas nabrał wartości ekonomicznej. Przebieg obrzędów (czas wesel) ulegał zubożeniu i skracaniu. Pojemność pamięci, liczba zwrotek pieśni i potencjał improwizatorski muzyków stopniowo malały (co folklorysty zauważali już w XIX wieku). Śpiew na polu przestał być pożądanym uzupełnieniem dniówek u pana. Folklor przeistaczał się ze strumienia wiedzy i nastrojów, dość uniwersalnych, ku układowi sygnalizacji koniecznych rytuałów i – zwłaszcza w pierwszym pokoleniu powłaszczeniowym – ku dziedzinie splendoru, podkreślaniu tożsamości gospodarza na własnej ziemi. Ten ostatni komponent folkloru obecny był szczególnie w tych regionach, które były lepiej zorganizowane gospodarczo (Biskupizna w południowej Wielkopolsce, Księżyce Łowickie, Ordynacja Zamojska) lub występowała tam słabsza podległość wobec władzy (np. królewskiej na Kurpiach, w Opoczyńskim) czy względna swoboda (grupy pasterskie w Karpatach), wreszcie – w tych regionach, które dość szybko dochowały się własnej elity (Podhale, Kaszuby).

Swoje serie etnograficzne Kolberg tworzył w takim właśnie zmieniającym się kulturowym kontekście. Z pewnością go odczuwał, skoro z taką intensywnością notował wszelkie warianty, „odmianki” melodii. To, co wydaje się oczywiste i trwałe, nie była bowiem kopiowane na piśmie. Osobowość Kolberga, wyrosła na pograniczu narodowym i wyznaniowym, była wy-

jątkowo otwarta i chłonna na atrakcje czy „egzotykę” kultur pochodzenia słowiańskiego. Przemiany, zawężenia w repertuarze, uproszczenia w obrzędowości, stwierdzane w późnych dekadach XIX wieku, nie były tylko faktem liczbowym. Osłabieniu ulegała synergia słowa i melodii, mowy i śpiewu, śpiewu i gestu, tworzyła melodię wokalne i instrumentalnej, akcji muzycznej i tanecznej. Była to także pochodna lub paralela – na polu muzyki i tańca – ustępującej samowystarczalności gospodarczej wsi oraz naturalnej niegdyś, a z biegiem czasu słabnącej, izolacji społeczności lokalnych. Analityczne i pozytywistyczne nastawienie wobec kultury, typowe dla czasów Kolberga, przełożyło się na imponującą obfitość szczegółów z poszczególnych dziedzin życia, które znajdujemy w „Ludzie...”. Wyobraźnia czytelnika ożywia i składa z tych mozaikowych elementów spójne obrazy żywych niegdyś kultur, niesłuchanie zróżnicowanych przestrzennie i środowiskowo-społecznie.

Muzyka żywa

Zapis nutowy Kolberga nie jest biologicznym sejsmografem, „melodiomierzem”, jak u dużo późniejszego Łucjana Kamińskiego („Pieśni ludu pomorskiego”, Toruń 1936), gdzie każda transkrypcja, zrealizowana już na podstawie dokumentu fonograficznego, stara się uwiecznić wykonanie unikatowe, mogące być za każdym następnym razem nieco inne. Kolberg notuje wiernie, na ile to możliwe, z realizacji „tu i teraz”, w słuchowym transkrybowaniu „w biegu”. Z uwagi na ustawiczną zmienność szczegółów w wykonaniach melodii poszczególnych zwrotek pieśni, zmienność typową dla *performance* w kulturze tradycyjnej, zapis końcowy do druku bywa standaryzowany (zwłaszcza pod względem metrycznym).

To samo, a może w większym jeszcze stopniu dotyczy wykonań instrumentalistów ludowych, u których (do dziś, zwłaszcza na Mazowszu) zmienność powtórzeń sprawia wrażenie odruchu naturalnego, wręcz dziedziczonej ucieczki od schematycznych repetycji. Kolberg dokłada starań, by warianty nanosił na jeden system pięcioliniowy, wykazuje nadludzką cierpliwość, by redagować, a równocześnie zachowywać możliwie pierwotny kształt. Jego rola to przecież swoiste „spowia-

danie” kultury. Słucha unikatowych, osobistych ekspresji i przenosi je do innego, powszechnie dostępnego medium – druku.

Dzieło Oskara Kolberga stanowi fundamentalny odsyłacz do witalności „prostych”, „szarych” ludzi na ziemiach polskich. Utrwalone dziedzictwo było ówczesnym, jak do dziś mawiają śpiewaczki, „cieszeniem biedy”. Kolbergowi towarzyszyło jednak przeświadczenie o ścisłym związku między śpiewem a kształtowaniem poczucia narodowości; mawiał, że narody trwają, póki śpiewają. Śpiew przynosi bowiem podświadome impulsy, które „kleją” wspólnotę.

Oskar Kolberg ufał, podobnie jak wielu późniejszych twórców i działaczy muzycznych, że podtrzymywa-

nie muzykalności swoicie regionalnej i zarazem powszechnej dużo lepiej wprowadzi do świata komponowanej muzyki klasycznej niż traktowanie wychowanków jak *tabula rasa*. To dlatego wzruszyło go do łez wydarzenie artystyczne podczas krakowskiej uroczystości z okazji 75-lecia jego urodzin i jubileuszu 50-lecia pracy naukowej (1889), jakim było zaśpiewanie przez chór „włościański” czterogłosowych opracowań melodii ludowych, których pierwotne wersje jednogłosowe zebrał wcześniej osobiście. ♦

→ Prof. PIOTR DAHLIG jest muzykologiem i etnografem, kierownikiem Zakładu Etnomuzykologii w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego.





Śpiew między światami

Na Litwie, kiedy śpiewamy, stajemy w kręgu i kołysujemy się wolno, ale rytmicznie na boki, ściskając dłonie na brzuchu. To doświadczenie wspólnoty. A jednocześnie jest to namacalne, pierwotne i zmysłowe doświadczenie własnego ciała. Drżącego, wibrującego, głośniego. Nie czuje się głodu, chłodu, wstydu – mówią etnologowie, badacze ludowych tradycji muzycznych.

ANNA NIEDZWIĘDZ, AGNIESZKA SABOR: Kim jest Oskar Kolberg dla Was, współczesnych etnografów? Wzorcem, inspiracją? A może po prostu irytuje Was – tak jak Ludwika Stomę, który niedawno dał temu wyraz na łamach „Polityki”?

GUSTAW JUZALA: Na pewno nie irytuje. Czytając Kolberga, musimy pamiętać, że działał w połowie XIX w. w określonych warunkach historyczno-społecznych. Trudno wymagać, by był np. postmodernistą. Pozostawał na granicy między ludoznawstwem romantycznym a *stricto* naukowym.

Zajmuję się na co dzień etnomuzykologią, jednak mój stosunek do ludzi, muzyki i badań jest inny niż u Kolberga. On, jadąc do jakiegoś dworu, bardzo często nie rozumiał muzycznej rzeczywistości zastanej na wsi. Po raz pierwszy stykał się tam z rytmami, do których nie był przyzwyczajony, z nietemperowanymi strojami. Notował to wszystko na bieżąco, tak jak słyszał. Dla porównania: spróbujcie zapisać, co mówi do was w swoim języku Chińczyk, a potem dajcie mu to do przeczytania. Nie będzie wiedział, o co chodzi. To podobna sytuacja.

Co najważniejsze, od czasów Kolberga zmieniły się technologie. Etnomuzykologia z prawdziwego zdarzenia zaczęła się w momencie, w którym pojawił się sprzęt do nagrywania.

JUSTYNA CZĄSTKA-KŁAPYTA: To kolosalna różnica. Dziś do nagrania możemy wracać dziesiątki razy. Dzięki temu dokładniej odwzorowujemy w transkrypcji morfologię danej melodii.

Kolberg miał doskonały słuch, był zawodowym muzykiem, świetnie grał na fortepianie. Na początku zamierzał jedynie upowszechnić muzykę ludową, by stała się inspiracją dla kompozytorów tworzących w duchu narodowym. Dopiero z czasem jego głównym celem stało się stworzenie atlasu regionalnego polskiej kultury ludowej, do której zresztą jako romantyk miał bardzo emocjonalny stosunek.

My nie czujemy się Kolbergami. Choć na obrazie folklorystyki muzycznej nierzadko ciąży postępowanie obiektywistyczne, nie wewnątrz-kulturowe, ale zewnętrzne – bliskie metodzie Kolberga.

G.J.: Chodzi o warsztat metodologiczny w badaniach terenowych i sposób podejścia do przedmiotu badań. Nie możemy przyjechać na wieś z przygotowanym wcześniej zestawem pytań w rodzaju: „Czy zna pani jakąś baladę pentatoniczną?”. Pamiętajmy, że muzyka w ogóle trudno przekłada się na dyskurs. W dodatku badana przez nas kultura ludowa wypracowała własną terminologię, odrębną od naszej. Od miejscowych uczymy się śpiewać, tańczyć, muzykować. Z czasem zaczynają nam tłumaczyć, co ro-

Kolberg: Skrzypek wiejski grajkem lub wesółkiem zwany (zwołując wszystkich do powszechnej zabawy), coraz to bardziej sam się przy grze zapala; przychyła głowę ku skrzypcom i nadstawia ucha, jakoby wysłuchiwał z głębi (najczęściej bardzo niedokładnie zbudowanego) narzędzia wydobywających się tonów, które nieraz niby w krzyki, piski lub skargi przechodzą; gdy tak gra, mówią że rznie od ucha.

DWOK I, PIEŚNI LUDU POLSKIEGO

bimy źle i jak powinniśmy to zmienić, żeby było dobrze.

Mówimy zatem o wiedzy ucieleśnionej, czyli o tym, czego uczy się nasze ciało, a co nie ma odpowiednika w języku. Opowiedzcie o tym doświadczeniu. Przyjeżdżacie w jakąś okolicę – i co?

J.Cz.-K.: Między mną a badaną grupą społeczną zachodzi interakcja. Dla mnie jako naukowca to rodzaj doświadczenia egzystencjalnego. W terenie moim zadaniem jest wniknąć w kanon myślenia lokalnej tradycji, poznać lokalny światopogląd. Aby było to możliwe, muszę ograniczyć swoje przyzwyczajenia, uprzedzenia, nałogi mentalne. Zaczynam mówić innym językiem, śpiewać inaczej, niż jestem przyzwyczajona. Staję się aktorem, przechodzę – jak mówi się w naszej dziedzinie – jakiś akt inicjacji. Na chwilę staję się innym człowiekiem, doświadczam innego życia i innego świata.

No dobrze, ale jak to jest – wejść komuś do domu? Zapytać: „Czy mogę u pani pomieszkować, poobserwować, jak pani gotuje, posłuchać, jak pani śpiewa?”. Przecież jesteście tam obcy.

J.Cz.-K.: Nigdy nie miałam problemu z tym, by zaproszono mnie do czyjegós życia. Bez otwartej postawy nie ma mowy o sukcesie badawczym. Rozumienie to nie tylko poznanie i opisanie faktów, ale może przede wszystkim – otwarcie się. Kiedy np. badam obrzędy i tańce, to mam obowiązek rzetelnie opisać te tradycje w konkretnym czasie i miejscu. Ale nie można przy tym wykluczyć emocjonalnych doświadczeń badającego! Emocje, przeżycia, których doświadczamy, zostają włączone w proces badawczy i mogą rzutować na wyniki opisu.

Jak zdobyć zaufanie? Trzeba porzucić własne przyzwyczajenia, bo ludzie natychmiast wyczuwają każdą próbę narzucenia im czegośkolwiek. Akceptuję więc wszystko, a nawet przyjmuję postawę osoby, która nie wie – choć przygotowałam się do badań. Trzeba też mieć psychologiczną umiejętność maksymalnego skoncentrowania na badanym przedmiocie. Ma to doprowadzić do szczerzej rozmowy, do zbudowania więzi. Bo tylko wtedy się dowiemy, dlaczego np. na Huculszczyźnie przy wykonaniu kolędy dla zmarłych trzeba dzwonić

dzwonkiem albo cicho grać na skrzypcach.

Czy można zrozumieć tańce, jeśli się nie zatańczy?

G.J.: Oczywiście, że nie. Poprzednie pokolenie etnomuzykologów nie śpiewało, nie tańczyło z ludźmi. Jechali w teren, by nagrywać. Ja stawałam w sytuacji, gdy miałem zarejestrować wielogłosy, mając do dyspozycji tylko jedną osobę, która je znała. Siłą rzeczy musiałem się od niej nauczyć drugiego głosu, a kiedy ona pokazywała mi, jak to robić, śpiewała pierwszy, górny głos, ja zaś drugi „wtór”, odtwarzając całość wielogłosowej pieśni. Tak poznawałem jakiś specyficzny kontrapunkt.

Dlatego – inaczej niż Justyna – nie rozróżniam mojej pracy badawczej od mojego śpiewania w terenie. To trochę jak uczenie się języka obcego: musisz zrozumieć jego gramatykę, ale musisz też wyrażać nim własne sądy. Często w czasie albo po badaniach jest jakiś poczęstunek, wtedy śpiewa się naturalnie przy stole – nie sposób skalpelem rozdzielać badań od uczestnictwa.

J.Cz.-K.: Tak, ale tu pojawia się pytanie, co chcemy badać. Czy poszukujemy materiału reliktoowego i wydobywamy go z pamięci, czy też badamy stan aktualny?

G.J.: To zasadnicza różnica. Poza Rumunią nie prowadziłem badań w krajach, w których tradycja ludowa ciągle jest żywa w swym naturalnym środowisku. Zajmuję się Litwą, Łotwą, Podlasiem, Suwalszczyzną. Wiejska muzyka trwa tam w pamięci, ale większość gatunków nie jest już praktykowana.

Wieś na Litwie jest obecnie wyludniona, mieszkają tam przede wszystkim ludzie w bardzo podeszłym wieku. W Polsce północno-wschodniej, szczególnie na Podlasiu, również nie ma młodych, a jeśli są, nie czują potrzeby samodzielnego muzykowania. Słuchają płyt, idą na dyskotekę... Oczywiście, gdybym znalazł młodą osobę muzykującą, chętnie bym ją nagrał. Ale to się niemal nie zdarza. Nagrywam z reguły ludzi starszych, bo tylko tacy umieją grać lub śpiewać.

Czyli to etnograf wywołuje sytuację badawczą? Prosi o wykonanie jakiejś pieśni, której już się nie śpiewa?

G.J.: Często. Ale jednak myli się ten, kto twierdzi, że najlepiej prowadzi się



Na sąsiedniej stronie:
kolędowanie na
Huculszczyźnie, 2010 r.
Fot. Piotr Kłapyta

Obok: śpiewaczki,
Krakuny, rej. sołecznicki,
Litwa, fot. Gustaw Juzala

Po prawej: kolędowanie
na Huculszczyźnie,
Justyna Cząstka-
Kłapyta w czasie badań
terenowych, Bereźnica,
Ukraina, 2009 r.
Fot. Piotr Kłapyta



badania tam, gdzie kultura muzyczna jest jeszcze żywa. Dam przykład z własnego doświadczenia. Obrzędem, który na Łotwie i Litwie nadal zachowuje tradycyjną formę, jest pogrzeb. Kiedy chcę nagrywać towarzyszące mu śpiewy, zwłaszcza lamenty, słyszę, że muszę poczekać, aż ktoś umrze. Nikt nie zaśpiewa ich bez odpowiedniego kontekstu. To byłby zły znak. A ja przecież nie zawsze mogę czekać.

W dodatku często się okazuje, że to, co dla nas jest muzyką, nie jest nią dla osób, z którymi rozmawiamy: np. lamentacje, które dla nas są melorecytacjami, dla żałobników są tylko specyficznym sposobem mówienia, stanowią część obrzędu. A to różnica.

Co to oznacza dla badacza-etnomuzykologa, który rusza w teren?

G.J.: Przez wiele lat przyjaźniliśmy się z małżeństwem śpiewaków z północnej Wileńszczyzny. Jeździliśmy tam z żoną i dziećmi i nauczyliśmy się od nich bardzo bogatego repertuaru. Mieszkali w chutorze, daleko od innych siedzib. Latem nagrywaliśmy ich pieśni, ale na zimę zostawialiśmy kasety i aparaturę, by sami robili nagrania podczas długich zimowych wieczorów. Na każdej kasecie nagrywali w innym języku, po polsku, litewsku, rosyjsku i białorusku. Nigdy jednak nie nagrali pieśni obrzędowych, a jedynie różne gatunki pieśni powszechnych. Nie przyszło im nawet do głowy, żeby nagrywać pieśni weselne czy te wykonywane przy pracach domowych, polowych itp. Były tak związane z sytuacją, że bez odpowiedniego pytania wykonawca o nich nie myślał.

Dlatego długo żaden etnograf nie zapisał np. podlaskich kolęd wielkanocnych, których jest bez liku. Nie zapisał, bo nie zapytał o nie. Zrobiła to dopiero w połowie lat 80. Janina Szymańska z Instytutu Sztuki PAN, która domyśliła się, że zapisana przez Zygmunta Glogera „Konopielka” nie może być jedyną pieśnią tego typu.

Udało Ci się jednak wziąć udział w tradycyjnym pogrzebie w czasie badań terenowych?

G.J.: Tak, niejednokrotnie śpiewałem na Wileńszczyźnie z żałobnikami przy zmarłym. Nie chodzi wyłącznie o śpiew – choć to piękne pieśni z kantyczki, czasem jeszcze średniowieczne łacińskie teksty przetłumaczone na polski, potem również na litewski, niekiedy barokowe z bogatymi

poetyckimi tekstami, wykonywane na miejscową melodię. Cała sytuacja jest niezwykła. Śpiewając, mam świadomość, że zmarły jest zbyt blisko, może metr ode mnie, że tuż obok stoi stół z wódką i jedzeniem. Mieszają się różne zapachy. I tak przez trzy kolejne wieczory i noce. Czasem aż do świtu.

Kiedyś byłem na pogrzebie w wielkim drewnianym chutorze. Kiedy włączyłem się do śpiewu zgromadzonych tam ludzi, poczułem się jakby duszą skrzypiec. To był ogromny, samotnie stojący dom, z surowego drewna, świetnie rezonował. W dodatku jakaś kobieta włączyła się z lamentacjami. Przeżycie było tak mocne, że musiałem wyjść na zewnątrz.

Sacrum doświadczane fizycznie.

J.Cz.-K.: Coś podobnego przeżyłam podczas huculskiego kolędowania, którego głównym celem jest wejście w inny wymiar, nawiązanie kontaktu ze światem zmarłych przodków. Kolędnicy kolędują tam przez dwa tygodnie, ale przez pierwsze trzy dni i trzy noce śpiewają i tańczą bez przerwy, nie śpiąc i nie odpoczywając w ogóle. Chodzą po wszystkich domach na osiedlu, nawet po tych, w których nikt już nie mieszka. Huculi wierzą, że w tym szczególnym czasie przybawają tam dusze dawnych właścicieli. Wierzą też głęboko, że zmarli słyszą dźwięki skrzypiec i trembity, a także modlitwy swiaszczennika, czyli cerkiewnego ojca duchownego. Tak więc muzyka to medium służące komunikowaniu się z drugim światem. Może tu należy szukać jej korzeni?

Byłam na Huculszczyźnie, gdy zmarł mój ojciec. A tam śpiewa się kolędy dedykowane bezpośrednio zmarłym, zapalając przy tym świeczkę, ustawiając kołacz. Skrzypce muszą grać cichuteńko lub w ogóle nie towarzyszą tej kolędzie... Kiedy śpiewaliśmy taką kolędę mojemu ojcu, wiedziałam, że jest w tym głęboki sens.

Pieśń to nie tylko melodia, ale także tekst. Jak podchodzą do tych aspektów pracujący w terenie etnomuzykolodzy?

J.Cz.-K.: Ludzie nie zawsze interpretują pieśni koherentnie: melodia plus tekst. Bardzo często, np. w Karpatach, pieśń definiuje się poprzez tekst. Nie proszę miejscowej gospodyni, by zaśpiewała coś na jakąś nutę, ale podaję jej kilka słów. Śpiew bywa przedłu-

żeniem mowy. Na Huculszczyźnie, muzykując, ludzie prowadzą długie rozmowy. Kiedyś podczas kolędowania, kiedy obrzęd wszedł w fazę lżejszą, zaczęli śpiewać o spotkaniu ze mną, o swoich pobytach w Polsce. Oczywiście improwizując!

Dziś takich improwizujących śpiewaków jest bardzo mało. Kiedyś przywódcy grup kolędniczych adresowali swoje pieśni do konkretnych osób, znając ich troski i pragnienia.

G.J.: Z relacją między tekstem a muzyką bywa różnie. Czasem proszę o jakąś melodię, a ktoś śpiewa mi do niej kilka zupełnie różnych tekstów. Na



Śpiewaczka odsłuchuje nagranie swojej pieśni, Ciechanowiszki, rejon wileński, Litwa, fot. Gustaw Juzala

rumuńskiej Bukowinie Polacy mają niewiele melodii – ale mnóstwo tekstów. Odwrotnie jest na Wileńszczyźnie – jeden tekst i mnóstwo różnych melodii.

A gest? Ruch ciała? Śpiewając angażujemy przecież całe ciało.

G.J.: Muzyka jest bardzo fizyczna – w różnym znaczeniu tego słowa. Na Litwie, kiedy śpiewamy, stajemy w kręgu i kołyszemy się wolno, ale rytmicznie na boki, ściskając dłonie na brzuchu. Z kolei Rosjanie wykonują charakterystyczne, koliste ruchy rąk – trochę tak, jakby dyrgowali. To służy koncentracji, ale przede wszystkim budowaniu wspólnoty, co jest jednym z najważniejszych celów muzyki ludowej. Śpiewałem w różnych chórach, ale żadna muzyka nie daje takiego poczucia wolności i jedności.

A jednocześnie jest to namacalne, pierwotne i zmysłowe doświadczenie własnego ciała. Drżącego, wibrującego, głośnego. Nie czuje się głodu, chłodu, wstydu.

Na początku naszej rozmowy pytałyście, jak zdobyć zaufanie ludzi, do których przyjeżdżamy. Jeśli tylko z nimi zaśpiewacie, zrodzi się niwerbalna więź, którą obydwie strony zapamiętają do końca życia. Szkoda, że w Polsce tak mało się śpiewa.

Kim wobec tego jest w kulturze ludowej śpiewak?

G.J.: Oboje z Justyną zajmujemy się regionami, gdzie pieśń wykonywana jest grupowo. Postać osoby prowadzącej pieśń jest bardzo ważna: nie tylko musi tę pieśń pamiętać, znać odpowiedni styl, ale powinna prowadzić ją w taki sposób, by wszystkim wygodnie było śpiewać, nie za wysoko, nie za nisko. To wymaga talentu i wielkich umiejętności muzycznych. Poznałem takich – wybitnych! – śpiewaków.

Co pozostało etnomuzykologom na ziemiach polskich?

J.Cz.-K.: Znaleźć można miejsca, gdzie nadal istnieje autentyczna ludowa pieśń religijna. Należy do nich region pieniński, gdzie od kilku lat nagrywam taki repertuar. Niestety, pojawił się tu ogromny problem: duchowni, którzy nie znają specyfiki ludowej materii muzycznej. Krzywdzą lokalną tradycję, narzucając parafianom własny, często oazowy styl śpiewania lub wprowadzając na siłę nowy repertuar kościelny. Co więcej, krytykują miejscową tradycję wykonawczą, posuwają się nawet do stwierdzeń, że lud nie umie śpiewać!

Tymczasem trzeba odróżnić śpiew uduchowiony, sakralny, wykonywany w lokalnym, zrozumiałym dla miejscowych dialektie muzycznym od zwykłej pieśni religijnej – często oazowej piosenki śpiewanej w sposób bezduszny, rozrywkowy – której dziś, niestety, uczy się w kościołach na wsi. Co gorsza, właśnie tam, gdzie jeszcze ludzie umieją i chcą z potrzeby serca i wiary głośno i po swojemu śpiewać!

Jestem związana ze wsią Grywałd, do której jeżdżę od trzydziestu lat. Zachowała się tam kształtowana przez setki lat umiejętność wielogłosowego śpiewania. Niestety, ingerencja kilku księży sprawiła, że tradycja sięgająca najprawdopodobniej okresu późnego średniowiecza zaczyna ginąć,

czego jestem bezradnym świadkiem. Podchodzę do tego bardzo emocjonalnie. Czasem z płaczem wychodzę z kościoła. Rozmawiam z ludźmi i dostrzegam ich cierpienie. Czują, że to zabijanie nie tylko ich duchowości, ale w ogóle poczucia wspólnoty – a więc i tożsamości.

Jest aż tak źle?

J.Cz.-K.: Do przeszłości odeszły śpiewy towarzyszące rozlicznym, dziś już nie wykonywanym pracom rolniczym. Ja pamiętam jeszcze „wyskania” kobiet po lasach – czyli zawołania pasterskie na kilku dźwiękach o opadającej strukturze melodycznej – ale dziś już ich raczej nie usłyszę.

Jedyną ostoją tradycyjnego śpiewu pozostał więc kościół – i tu dochoodzimy do sedna problemu. To, co dla nas, etnomuzykologów, jest zabytkiem polskiej muzycznej kultury religijnej, dla niedoksztalconych księży pozostaje jedynie nieudacznym, bo obcym ich muzycznym nawykom śpiewem, dla którego nie ma miejsca w świątyni. Fatalną rolę spełniają tu także organy i syntezatory, które likwidują archaiczną manierę interpretacyjną, przypominającą średniowieczną „diafonię angielską”, a trochę nawet stylistykę śpiewów gregoriańskich – ze względu na ametryczność, swobodę wykonawczą, długo wytrzymywane punkty przystankowe na zakończeniu fraz muzycznych.

Dokąd powinniśmy się wybrać na wycieczkę, by zdążyć jeszcze wysłuchać autentycznej polskiej pieśni?

J.Cz.-K.: Najwięcej znajdziemy na wschodzie kraju i w rejonie karpackim. Warto podjechać na Podlasie, Kurpie, Suwalszczyznę. Co zaskakujące, wiele pozostało na Mazowszu. Pod Krakowem znacznie mniej.

Wszystko zależy jednak od tego, jak zdefiniujemy autentyczną pieśń ludową. Dawniej uważano, że musi być anonimowa, przekazywana ustnie, że musi cechować się indywidualnością interpretacji i wariabilnością.

G.J.: Autentyczna śpiewaczka ze wsi zaśpiewa każdą zwrotkę w inny sposób. Nie ma jednej wersji konkretnej pieśni ludowej, ale nieskończona liczba jej wariantów...

J.Cz.-K.: ...I dopiero suma wszystkich wariantów danej pieśni świadczy o żywotności folkloru. Tu rodzi się ważne



Kolberg: Śpiewki takie nie zawsze lud w tańcu lub w karczmie przy kieliszku nuci, owszem słyszeć one się często dają przy robocie w domu i na polu, podczas żniw, sianozęci, w ogrodzie, na paszy za bydłem; także przy dojeniu krów, w czasie jazdy, przy kołysce. Nieprzebrana ich mnogość jest owocem chwilowego natchnienia podnieconego trunkiem i miejscowymi okolicznościami, do czego lada codzienna przygoda dać może pochop...

DWOK T. I, PIEŚNI LUDU POLSKIEGO

Dzień św. Jerzego, zespół Saucējas,
Ryga, Łotwa, 2011 r.
Fot. Gustaw Juzala

Na sąsiedniej stronie:
okolice wsi Rudno

→ pytanie: skoro zmieniły się formy przekazu tradycji, korzysta się z nagrań, zapisów nutowych, a sporadycznie tylko z tradycji ustnej, to czy autentyczna pieśń ludowa w ogóle jeszcze istnieje? A może wymaga nowej definicji?

G.J.: Niedawno byłem na przesłuchaniach kolędowych w Krzeszowicach, gdzie po wysłuchaniu jakiejś nieznanej pastoralki, zapytaliśmy wykonawcę, skąd ją zna. Z Mioduszewskiego? Z Kolberga? Skądże, z YouTube!

To chyba pozytywne zjawisko: owszem, coś odeszło pozostawiając wyrwę, ale śpiew jest na tyle pierwotnym doświadczeniem, że tęsknimy za nim. Może ta tęsknota silna jest szczególnie na wsi, gdzie ludzie pamiętają, że kiedyś się śpiewało.

G.J.: Co ciekawe, poszukiwania tradycji ludowych zauważalne są raczej w mieście, wśród ludzi, którzy ze wsi niewiele mają wspólnego.

Większość Polaków ma jednak wiejskie korzenie – przy czym znacząca część nie chce się do tego przyznać. Może te poszukiwania stanowią próbę przypomnienia sobie i dowartościowania tego, co wyparte?

G.J.: Ludzie skupieni wokół warszawskiego Domu Tańca, uczestnicy zajęć organizowanych przez Fundację „Muzyka Kresów” w ogromnej większości wywodzą się z rodzin inteligentnych, i to w którymś pokoleniu. Ludzie ze wsi odczuwają raczej opór wobec tradycji ludowej.

J.Cz.-K.: To kwestia stereotypów: wieś kojarzy się z biedą, prymitywizmem.

G.J.: Ale tylko w Polsce! Pierwsza katedra muzyki ludowej przy akademii muzycznej powstała przed czterdziestu laty w Finlandii. Dziś wykłada się ją niemal wszędzie, także w krajach naszego regionu: Skandynawii, państwach bałtyckich, na Węgrzech, Ukrainie, Białorusi, w Rosji. Wszędzie poza Polską. I myślę, że nieprędko się to zmieni.

Może nadal żywa jest u nas trauma pańszczyzny, wielowiekowego zniewolenia chłopów?

G.J.: Nie sądzę, wystarczy przywołać przykład Węgier. Tam – podobnie jak w Polsce – szlachta nie tylko była warstwą dominującą, ale stanowiła

również duży procent społeczeństwa. Tam również istniała pańszczyzna. Mimo to Węgrzy z wielkim szacunkiem i pietyzmem odnoszą się do swojej tradycji ludowej.

Co zaważyło więc o naszym stosunku do kultury ludowej?

G.J.: Myślę, że okres PRL. Wtedy zaczęto promować folklor w sposób wręcz prostacki, w społeczeństwie powstało nawet lekceważące pojęcie „cepliada”. W innych krajach bloku wschodniego narodził się opór wobec tego zjawiska, zaś ludowość stała się elementem kontrkultury, buntu. W latach 60. i 70. na Węgrzech powstawały kolejne domy tańca. Na Litwie, w Łotwie i Estonii organizowały się niezależne kluby pieśni ludowej: ludzie jeździli na wieś, gdzie uczyli się od chłopów śpiewać zgodnie z lokalnymi regułami. To było tam powszechne! My po prostu mieliśmy wtedy „folkloru” dość... Za bardzo pachniał nam propagandą, więc odwróciliśmy się odeń plecami.

Jednak dziś sytuacja zdaje się odwracać: modny jest np. etnodizajn.

G.J.: Wydaje się, że teraz w Polsce kultura ludowa zaczyna nabierać charakteru kontrkulturowego. Tu znów przychodzi na myśl warszawski Dom Tańca, który co tydzień przygotowuje taneczne spotkania przy tradycyjnej muzyce albo „tabory”, czyli dwutygodniowe obozylotnie, na których chętni, gdzieś na peryferiach naszego kraju, uczą się miejscowych pieśni i tańców.

J.Cz.-K.: Niestety, ten – bardzo ciekawy – ruch folklorystyczny przysłańia nieco to, co się dzieje na naszych oczach: gdzieś ukryte są jeszcze relikty tradycyjnej kultury ludowej, które za moment znikną. Tymczasem brakuje funduszy, brakuje chętnych do wyjazdu w teren... Możemy nie zdążyć.

ROZMAWIAŁY ANNA NIEDŹWIEDŹ
I AGNIESZKA SABOR

→ Dr JUSTYNA CZĄSTKA-KŁĄPYTA jest etnomuzykologiem i etnologiem, specjalizuje się w badaniu szeroko pojętej kultury muzycznej Karpat.

→ Dr hab. GUSTAW JUZALA jest etnomuzykologiem, pracownikiem Instytutu Archeologii i Etnologii PAN. Specjalizuje się w kulturze muzycznej pogranicza polsko-litewskiego, Litwy, Łotwy oraz Polaków z Bukowiny rumuńskiej.

Cisza nad polską wsią

„Już w kulturach oralnych granice wyznaczone są przez zasięg ludzkiego głosu i to pokrywa się z poczuciem terytorialności, poczuciem własnej, bezpiecznej przestrzeni”
ROCH SULIMA

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

jednak pewna: od paru lat go nie słychać. Pola zarastają od tej strony ugorami, a potem szybko lasem, który tłumi dźwięki.

Wreszcie spadł śnieg, by zdjąć sprzed oczu zbyt długo trwający widok czarnej martwej ziemi. Skrzypi też furka, po której chyba skacze rozbity pies. Jest ładny i szczeka. Słychać szum autostrady. Tę widać z okna, ale jeszcze lepiej z podwórza. Zbudowali ją w 1975 r. Raczej w Rudnie nikt nie protestował, choć ludzie psioczyli. Najgorzej jest, jak wieje od południa. Wtedy niesie ten pohuk, te toyoty, many i kawasaki, i można ogłupieć. Ale nie Maria, która mówi: – Można przyzwyczaić się do wszystkiego.

Od jakiegoś czasu nie słychać też wróbla. Ludzie nie koszą łąk, a to podobno wróblom nie służy. Nie koszą łąk, bo nie robią w polu. Nie robią w polu, bo wszystko dziś zeżrą sarny i dziki. Dziki buszują po działkach, bo mają zagrodzoną drogę na południe. Przy autostradzie stoi siatka, dochodzą do niej i wracają do Rudna. Nie słychać ani jednej krowy, ani koguta. Kury słychać, bo ma sąsiadka. Maria nie trzyma już gadziny, bo żyje sama.

Teraz, gdy jest mróz, wyraźniej strzelają szczapki, gdy rozpala w kuchni w piecu. Jest jeszcze kaflowy w pokoju, centralnego nie ma. Pali na węgiel albo drewno, w tym roku dobre, bo twarde, z poleconego tartaku.

Mróz, więc nie jeżdżą obwoźni handlarze. Żuka teraz nie zagrzeje. Przyjeżdżają zwykle chłopci spod Olkusza. Wrócą wiosną. Z ziemniakami, warzywami. Wychyłają głowę przez okno: „zimnioki, zimnioki, cebula!”. Tukh, tukh, tukh. Żuk toczy się pięć na godzinę i znów wołanie. Gdy z którejś bramy wyjdzie ktoś z siatką, szofer zeskoczy na asfalt. Wcześniej wyłączy silnik. Dlatego znów słychać szum autostrady. Maria też od nich kupuje, choć uprawia w ogródku trochę warzyw. Namawiają ją, że taniej i wygodniej kupić w „Biedronce”. Odpowiada zawsze tak samo: tamte nie pachną tak, jak wyrwane z ziemi.

Mróz, a powietrze stoi, i dźwięki przypominają kryształ. Maria mieszka do tego na samej górze, naj-

wyżej w tej części Rudna. Na górze słychać lepiej daleki świat, ale dźwięki ze wsi spływają w przeciwną stronę – w dół. Raczej dźwięki maszyn niż ludzi. Na przykład busika do Krzeszowic. Pekaesy wycofują ze wsi. Busik cichszy i mniej pali.

Albo quady, rajdowcy mają raj, bo wokół same ugory. Kupują je często ci, co wrócili z zagranicy. Tak jak ścigacze. Ale to już w innej wsi. Ci, którzy dziesięć lat temu jeździli komarkami, simsonami albo wueską, ziścili swoje pragnienia. Kawasaki, 7800 PLN, 65 koni, używany, ale wariat. Widać to dopiero na wsi na pogrzebach motocyklistów. Wtedy wszyscy wyjeżdżają w pełnym rynsztunku, ale z kaskami przewieszonymi na kierownicy. Policja kieruje ruchem i blokuje trasę szybkiego ruchu. Za trumną toczy się honorowa karawana motorów w dwóch rzędach. Ile? Z trzydzieści, może czterdzieści. Większość z jednej wsi. W takich chwilach ludzie znów gromadnie wychodzą na ulicę. Płaczą przy płotach albo płacząc uciekają w kłapkach do domów, bo nie mogą tego słuchać. Motokarawana trąbi tak, że rozrywa serducho. Gdy wróci noc, wieś znów przetnie ten ryk. Bywa, że zadrży zyrandol. Motor jest jak pocisk.

Mróz. Jeśli niedziela, to w Rudnie o 10.15 biją dzwony na mszę w kaplicy. Ksiądz przyjeżdża z Tenczynka. W tygodniu msze są jeszcze w czwartki, zimą o szesnastej, latem o siedemnastej. Kaplicę wybudowali tutejsi w czynie społecznym w jeden rok. Jest cała dokumentacja, zdjęcia. Mężczyźni bez koszulek, musieli grać. W tle maluchy. Kobiety podają cegły. Wodę dowozili beczkowozem, bo jeszcze wtedy nie było wodociągów. Maria podkreśla, choć to widać na fotografiach: ludzie pracowali bardzo chętnie. Spisywali liczbę pracochwytających godzin. Kazimierz Płasiński najwięcej – osiemset. Chrzt i pogrzeby odbywają się w Tenczynku. W kaplicy śluby, bo jest ładna sceneria do fotografii. Chwilę gwar, szybkie brawa i warkot silników. Odjeżdżają i wraca cisza. Chyba że jest lato, weekend. Wtedy koszą trawniki od rana do wieczora, w niedzielę też. Trawy jest we wsi w bród, więc jak

Kolberg: Radzą na pochód pogrzebowy przez okno domu nie spoglądać, lecz, aby uniknąć szkody, wyjść przed chałupę i z otwartego przed progiem patrzeć miejsca. (...) Gdy umarłemu dzwonią w kościelnej dzwonnicy, strzedz się trzeba jeść cokolwiek w tej chwili lub pić, bo od tego boleść i próchnieć będą zęby.

DWOK 7, KRAKOWSKIE CZ. III

→ jest szal. „Moje ciało tamtej nocy oszalało, Twoje ciało moje ciało omotało, Twoje piersi, Twoje dłonie, Twoje uda, Twoje oczy, Twoje nóżki czynią cuda”

To stare przywoziło się na kasetach z ruskich targów. Pamiętam tę modę. Przeminała szybciej, niż się spodziewaliśmy. Nie chodzi oczywiście o disco polo. W sklepach obok górali z osiemnastoma przerzutkami pojawiły się wieże, na przykład sony albo technics. Tak naprawdę liczyły się tylko składowane technicsy. Były wielkie i waliły jak nieszczęście. Przecież najważniejszy był bas. No więc wystawiało się je do okien i przekręcało galkę na full. Gdy ktoś zapomniał odsłonić firankę, podmuch porywał ją i tańczyła nad ulicą. Co trzeci, może czwarty dom. „Ja, ja, ja, was ist los? Was ist das? Eins, zwei Polizei, drei, vier Grenadier, fünf, sechs alte Hex’, sieben, acht gute Nächte!”. Najlepiej było zacząć od tego, bo to było mocne wejście. Przez wieś, przez którą Niemcy przeciągnęli żywcem na śmierć przywiązane sznurami do wozu Donka Wrone, płynęła niemczyzna w wykonaniu Mo-do. Policjanci stali pod remizą, palili i rozmawiali ze znajomymi. Starsi wyzywali, bo „głośno i szarpidruły”. Za to domorosły didżej siedział przy stole, firanka podskakiwała, a „It’s My Life” Dr. Albana słuchali wysiadający z autosanu, wracający z fabryk i kopalni, siedzący na ławkach, psy, krowy, byki, koty, stare babiny i pijacy. Ci najczęściej przy sobocie. Gdy wracali, mijając grający dom, tańczyli i śpiewali. No, przynajmniej podrygiwali. Zwykle nosili jasne dżinsowe spodnie i katany. Wysokie, białe buty Reeboka z długim i gąbczastym, lekko popękany już i poślizgiem językiem. Didżeje spoglądali na ich reakcję zza firanek i rośli w oczach. Potem idąc na przystanek, nieco bardziej się bujali.

Wstawiała niedziela. Na mszę były dzwony, ale wielu czekało na zupełnie inny dźwięk.

Najpierw słychać było muśnięcie, jakby ktoś przypadkiem trącił klawisz. Potem narastał i formował się w tę melodię, płynącą z zamocowanego na dachu głośnika. Jestem się w stanie założyć – nikt nie wie, skąd on przybywa. Jakby wyjeżdżał z nicności, widzialny zataczał we wsi pętlę, a potem, by oszczędzić paliwo, znowu zniknął. Bo jeździ po wsi do dziś, ale raczej latem. Gdy muzyka cichnie, znaczy, że wydaje resztę. Obwoźny sprzedawca lodów.

5.

Matka Marii zmarła w 1997 r. i trzy dni leżała w pokoju. Moja prababka zmarła rok wcześniej. Było tak samo. Pogrzeb na trzeci dzień od zgonu. Chodziłem wokół jej ciała, stawałem na palcach i obserwowałem śmierć zakłęta w ludzkim ciele. Sąsiadki śpiewały matce Marii religijne pieśni na pożegnanie i odmawiały modlitwy. Żegnała ją powoli, by człowiek się przyzwyczaił. Dziś zabrania tego sanepid. Maria rozumie ich racje, ale w miejskim bloku. Tam jest zaduch, dużo ludzi. Na wsi izby są chłodne, ciało stygnie. Monika nie wyobraża sobie swojego pogrzebu inaczej. Trzy dni leżeć i słuchać pieśni. Pokonać ostatni raz swoją ulicę Dębową – drogę na przystanek, do kościoła i na cmentarz. Niekoniecznie w dębowej trumnie, bo za ciężka. I żeby szli za nią i śpiewali „Zmarły człowiecze”.

6.

Być może nigdy w dziejach na polskiej wsi nie było tak cicho. Miastowi dostają to, czego szukają. Inni twierdzą, że nie ma nic gorszego niż wieś, na której osiada cisza.

Mróz. Ale czy dźwięki w ogóle zamarzają? Słyszałem, że tak dzieje się w Jakucji. Podobno Google zna odpowiedzi na wszystkie pytania, prócz tych najważniejszych. To należy do tych fundamentalnych. Sprawdziłem u dobrego, bo naukowego źródła. Otóż, drodzy Państwo, dźwięki nie zamarzają nigdy. Potrafi unicestwić je tylko jedno: próżnia, nicność.

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

→ ANDRZEJ MUSZYŃSKI jest pisarzem, autorem wydanych w 2013 r. „Miedzy” i „Południa”. Wkrótce nakładem wydawnictwa Czarne ukaże się także jego reportaż „Szafrańska rewolucja”.

Powyżej:
 kolodziej, Brzegi, pow. Nowy Targ,
 fot. Zenon Frank, 1935 r.

Obok:
 kucie konia przed kuźnią,
 Marcyporęba, pow. Myślenice,
 fot. Jacek Kubiena, 1968 r.





„Cygan Marcin z rodziną w Krościenku”, karta pocztowa, przed 1918 r.

Cygan Marcin z rodziną w Krościenku.

Dla polskich chłopów z XIX w. świat żydowski (oraz innych narodowości) był lustrzanym odbiciem – ale „na opak”, jak w krzywym zwierciadle – ich własnej rzeczywistości.

ALINA CAŁA

Oskar Kolberg nie był pierwszym, który zapisywał i opisywał folklor polskiej wsi. Jego znamienitymi poprzednikami, z których dorobku zresztą często korzystał, byli m.in. Łukasz Gołębiowski, jeden z pierwszych polskich etnografów, oraz jego współpracownik Jan Kanty Gregorowicz.

Nie sposób jednak przecenić zasług Kolberga dla stworzenia podwalin polskiej etnografii jako dziedziny naukowej refleksji. Jego dzieła stanowią źródło wiedzy dla współczesnych etnologów i antropologów kulturowych, tym cenniejsze, że folklor, który został przez niego opisany, dziś już w tej postaci nie istnieje.

O „obcych” u Kolberga można mówić co najmniej na dwóch poziomach. Z jednej strony sam „lud” był dla badacza obcy, dziwny i tajemniczy. Z drugiej strony, z zanotowanych przez Kolberga materiałów wyczytać można ludowy obraz „obcego”.

„My” i chłopci

Jeżdżąc w teren oraz rozwijając swój projekt badawczy, Kolberg przez kilkadziesiąt lat doskonalił metodologię. Modyfikował ją w zetknięciu z kulturowo obcym sobie „ludem”. Pierwsze wydawnictwo, zbiór pieśni i dumek,

Portrety obcego

przygotował tak, jak czynili to jego uczeni poprzednicy: wygładzając gwaryzmy i usuwając wulgaryzmy – bo w odbiorcami mieli być rozśpiewani mieszkańcy dworów. W późniejszych latach zapisywał wszystko wiernie, tak jak usłyszał, rzadko ingerując w teksty. Także treści rubaszne lub tematy bardzo kontrowersyjne, jak zawarte w pieśniach opisy gwałtów, morderstw, a nawet kazirodztwa.

Myli się zatem Ludwik Stomma, który w swoim niedawnym felietonie w „Polityce” sugerował, że Kolberg w swojej nieczułości na krzywdę chłopską kazał sprowadzać chłopów do dworu, w którym aktualnie rezydował, i przed swoim obliczem rozkazywał śpiewać lub opowiadać. Wręcz przeciwnie: Kolberg z całą pewnością odwiedzał karczmy, obserwował obrzędy, bywał także na weselach. Inaczej nie udało mu się zapisać tak dokładnie melodii, podać szczegółów instrumentacji, opisać zachowania itp.

Inna sprawa, że korzystał z pomocy licznych ziemiańskich amatorów, którzy stosowali różne, nie zawsze profesjonalne metody.

W tomie 73/I „Dzieł wszystkich” opublikowano list „pewnej niewiasty”, znajomej Kolberga spod Krakowa, z 1872 r. (być może to on stał się źródłem owego niesprawiedliwego uogólnienia w felietonie Stommy): „Nie jest to tak łatwe dzieło (zbierać pieśni i podania), jak by sobie kto myślał; nasz lud, który jest więcej otwarty i śmiały niż na Rusi lub gdzie indziej, a napatrzyłam się, jak trudno z niego co wydobyć. Sprowadzona ledwo dziewczyna lub kobieta staje przed piszącym, a zakrywszy twarz i usta chustką, śmieje się i nic więcej; wyobraź sobie, jakiej trzeba cierpliwości, kiedy trzykrotnie znaczone pióro wyschnie, a tu nie można nic usłyszeć, tylko nowe parsknięcie śmiechu; jaki

Francuz roztrzępany to by ją z pewnością za drzwi wypchnął”.

Jednak w kolejnym tomie (73/III) przytoczone zostały opowieści o czarownicach i upiorach, których „wielmożna pani” wysłuchała, pofatygawszy się do kobiet międlących len.

Zarzut Stommy, że Kolberg pomijał niewygodne dla ziemian wątki krzywdy chłopskiej, jest anachroniczny. Oczywiście wydaje się, że w obecności „panów” chłopci nie byli skorzysci, buntowniczych pieśni ani zwierzać się z krzywd i ucisku. W tekstach zebranych przez Kolberga znaleźć można jednak lamentsy nad chłopskim losem, przyspiewki śmiechem biorące odwet na panach, albo opis rytualnego bicia ekonomów jako wstęp do dożynek.

W drugiej połowie XIX w. ziemianie nie pełnili roli sędowniczej, nie mogli zatem zakuć chłopów w dyby lub wybatożyć – choć nadal stosowali różne formy opresji.

Prawdą jest natomiast, że zarówno Kolberg, jak i jego współpracownicy mieli specyficzny stosunek do chłopów. Postrzegali ich jak „obcych”. Z wzajemnością zresztą. Znikoma mniejszość zbieraczy notowała imię i nazwisko wiejskich rozmówców, bo ważny był folklor, a nie jego twórca i wykonawca. To folklorem się zachwycali, doceniali jego autentyczność (choć przeceniali jego rolę jako spoiwa tożsamości narodowej). Chłopa postrzegali podobnie jak Europejczyk plemiona afrykańskie – jako prymitywne skamieliny przeszłych czasów – i z poczuciem wyższości.

Niemcy od diabła

Jednym z wątków, który odzwierciedlony został w pieśniach i opowieściach ludowych zebranych przez Kolberga, są inne narodowości, o których chłopci

mieli swoje wyobrażenia i opinie. Możemy zatem dowiedzieć się, jak postrzegani byli Cyganie, Niemcy, Francuzi, Rosjanie, Kozacy czy Tatarzy.

W tomie 16/I streszczona została opowieść z Szydłowca, w której przypisano Cyganom wynalazek igły („... że włócząc się po świecie, nie mają nic innego do roboty, więc sobie najłżejszy, najostrzejszy i najcichszy, a żelazniczy rodzaj pracy obrali”) oraz zapalek („...aby im takowe posłużyć mogły korzystnie, gdy idą kraść w nocy; prędko bowiem i bez hałasu krzesania mogą sobie wówczas wznieść tyle im zawsze potrzebny ogień”). W tej dość oryginalnej przypowieści o stwarzaniu rzeczy ukryty jest stereotyp Romów: niechęć do ciężkiej pracy, paranie się kradzieżą. No i wróżenie – wzmianek o wróżących Cygankach i ich oszustwach jest kilka, rozsianych w tomach „Dzieł wszystkich”. Cyganie są wprawdzie biedni, przeganiani i bici, ale żyją „swobodno”, jak głosi jedna z piosenek:

*A za nami zawsze nędzą od wsi do wsi nas popędza. Hej! chłodno i głodno, ale żyjem swobodno (...)
Czy wójt jaki, czy starosta, co nas bije, co nas chłosta, Hej! chłodno itd.*

Niemcy kojarzeni byli z siłami nieczystymi. W tomie 17/II (Lubelszczyzna) w streszczonej opowieści o cudownym pieniążku, inkluzie, diabłu przyjmuje postać „Niemczyka” – takie utożsamienie pojawiało się od XVI wieku, a jeden z eufemizmów stosowanych, by nie przywołać przypadkiem diabła, to „kusy” – od krótkiego frakana noszonego przez Niemców. Nacją ta była wysmiewana w przyspiewkach. Są i echa historii, jak w piosence z Krakowskiego (tom 6/II):

Głupie Niemcy, głupie nie siedzą w chałupie od Francuzów w kupie dostali po skórze (...)

W ostatnim wersie widać ingerencję Kolberga, bo zgoła inne słowo się tam rymuje. Jest też przechwałka, w której badacz tekstu już nie wygładził (tom 73/I):

Niewiele im trzeba, tylko batów kupę, weznie od Polaka każdy Niemiec w dupę.

W Galicji ziemianie odróżniali Niemca od Prusaka, ten pierwszy to Austriak (tom 73/III):

...w Gdańsku Prusak, w Litwie Moskal, tu Niemiec dziwaczny.

Prusak każe język łamać, Moskal daje baty, Szwab zaś nowe egzekutne rozseła mandaty (...)

Gdy masz Żydka na arendzie, trzymaj go skrycie, gdyż go cesarz potrzebuje osadzić na mycie.

Patriotyczna panienka nie chce wyjść za Francuza:

Francuza ja nie kę, choć przy skłance wina, bo by ja mamuniu, była nieszczęśliwa (...)

Moskała też nie chce ta wybredna panna, bo:

Nad naszym kościółkiem boże słońce świeci, mówią, że Moskała jedzą polskie dzieci.

Ciekawe, że Kozak, w Królestwie postrzegany jako okrutny najemnik cara, gromiący patriotyczne demonstracje i powstańców, w Galicji zaludniał rzewne dumki, których teksty nadsładowały język ukraiński. Wyruszał na wojnę (czy po to, aby gromić polskich powstańców?), żegnany przez zakochaną w nim Ukrainkę, pełną nadziei, że nie polegnie. Jak w jasełkach z Krakowa (tom 5):

Kozak konie napawał, Dziuba wodę brała, Kozak sobie zaśpiewał, Dziuba zaptakała (...)





Panny młode, Broniów, fot. P. Ogradzki, 2011 r.

Tropami etnografa

Pisarz widzi w Kolbergu przede wszystkim dokumentalistę, który stawia sobie za cel ocalenie wiedzy ludu, traktowanej jako istotna wartość. Ponieważ Nowak zmierzał do zachowania pamięci o świecie ludowych wyobrażeń, obyczajów i obrzędów, doceniał na pracę Kolberga, podkreślając, że wobec zanikania tego świata jego dzieło pozostanie zapleczem kulturowym – obok Biblii – do którego będzie się można w przyszłości odwołać. Wielokrotnie powtarzał, że zwyczaje, obrzędy, legendy ludu są podstawową prawdą i ją właśnie chce w swojej prozie udokumentować.

Nowak dostrzega jednak, że zapis poczyniony przez badacza nie może być tym samym, co bezpośrednie doświadczenie. Dlatego też w jednym z wywiadów mówi: „W zapisach Kolberga ujawnione zostały kwestie czarów wiejskich i sfery magii, ale trochę groteskowo, może w niewierze i jako zabawa. A ja chciałem dotrzeć do prawdziwych źródeł tajemniczych kontaktów”. Sam przecież patrzy już na kulturę ludową z pewnego oddalenia, ale ma w pamięci jej żywe doświadczenie z okresu własnego dzieciństwa. W innym miejscu mówi o tym, że do 12. roku życia nie przeczytał żadnej książki – jego literaturą był wówczas przekaz ustny, opowieści wiejskich gawędziarzy. Zapamiętane przez siebie obrzędy i podania nazywa Nowak „Kolbergiem żywym”.

Doceniał umiejętność uchwycenia przez Kolberga wieloaspektowości ludowego świata, tego splotu łagodności i okrucieństwa jednocześnie, które są różnymi stronami tej samej rzeczywistości. Doceniał zapewne dlatego, że bliska mu była koncepcja uniwersum jako pełni, w której współistnieją przeciwieństwa.

W ludowych opowieściach widział Nowak – jak zapewne i Kolberg – rys indywidualny mieszkańców regionu, danej wspólnoty, czy wreszcie i narodu. Stwierdzał: „mitologia tworzy naród”. Jednak był to dla niego tylko

etap drogi prowadzącej ku temu, co uniwersalne. Poprzez oryginalną kulturę ludową konstituuje się tradycja danej wspólnoty, nadrzędnym jednak celem zakorzenienia i rozpoznania swego zaplecza kulturowego jest osiągnięcie świadomości własnej tożsamości – jednostkowej, lecz umocowanej w wartościach moralnych wspólnych człowieczeństwu w ogóle. Czy wierzył, że można je wyznaczyć i zachować, to inna sprawa.



Gdy dziś zapytać o Oskara Kolberga, stosunkowo niewiele rozpozna jego nazwisko i powiąże z działalnością. Podobny los spotkał Tadeusza Nowaka, którego powieści obce są nawet części studentów polonistyki. W przypadku autora „Diabłów” przyczyną może być kilka. Jedną z nich jest przedwczesna śmierć, która sprawiła, że jego twórczość pozostała niedopelniona. Nie wymienia się go dziś obok nazwisk Myśliwskiego czy Pilota, choć to ta sama generacja i podobne doświadczenia. „Wniebogłosy” – jedna z najważniejszych powieści lat 80. – nie doczekały się uznania i wnikliwego, całościowego odczytania. Tymczasem problem dla Nowaka, jako pisarza i człowieka, najważniejszy – pytanie o to, gdzie tkwią źródła naszej duchowości, na czym się ona opiera, jak do tego dziś dotrzeć – pozostaje nadal aktualny. Jeden z autorów tego dodatku, Andrzej Muszyński, komentując swoją książkę „Miedza” powiedział, że pisząc o małej rodzinnej wiosce, chciał pokazać zanikającą duchowość, integralny świat wartości.

Tęsknota za tym pozostaje, jak widać, niezmienna.

DOROTA SIWOR

→ Dr DOROTA SIWOR jest redaktorem pisma „Konteksty Kultury”. Pracowała na Wydziale Polonistyki UJ, obecnie w Kolegium Nauczycielskim w Bielsku-Białej. Zajmuje się mityzacją w literaturze współczesnej oraz prozą najnowszą. Autorka m.in. książki „W kręgu mitu, magii i rytuału. O prozie Tadeusza Nowaka” (2002).

Wsie. Nie jedna, nie dwie

Jeden z zaproszonych przez nas artystów zaprosił mieszkańców wsi do tego, żeby na pejzaż ugoru nanieśli obrazek tego, co chcieliby, aby w tym miejscu się znalazło. Pomysły były bardzo różne: od plantacji ogórków przez spa po lunapark, rewię na lodzie i muzeum wsi – mówią członkowie grupy badawczej Kolektyw Terenowy.

JAN MENCWEL: Oskar Kolberg starał się badać i opisywać kulturę wiejską jako pewną całość. Czy takie podejście ma sens we współczesnej etnografii? Jak wygląda dziś relacja wieś–miasto?

SEBASTIAN ŚWIĄDER: Trudno nam mówić abstrakcyjnie: wieś, miasto... Od kilku lat zajmujemy się bardzo konkretnymi, dwiema wsiami położonymi w powiecie szydlowieckim: Broniowem i Ostałówką. Interesuje nas cały kosmos, w którym są zanurzone, który się wokół nich rozciąga. To konkretna przestrzeń: ludzie, którzy w niej żyją, ich aktywności, relacje między nimi, a także ich relacje z nami. Częścią tego mikrokosmosu są pewne elementy, które przywykliśmy uznawać za przejaw kultury wiejskiej czy

ludowej: wytwarzanie rzeczy, pieśni, opowieści, historie.

TOMASZ RAKOWSKI: Można nawet powiedzieć, że nie zajmujemy się „kulturą wiejską”, ale „kulturą wsi Broniów i Ostałówek”. Wyraźnie widzimy różnice między tymi wsiami i myślę, że mówienie o nich w kontekście jednego modelu kultury nie miałoby sensu.

Przykład? Ostałówek to wieś, w której bardzo mocno czuć jeszcze wpływ pór roku, silnie obecna jest tam kultura uprawiania roli. Nie ma tego z kolei w ogóle w Broniowie, który leży zaledwie półtora kilometra dalej. Tam właściwie nikt już nie zajmuje się gospodarowaniem.

Skoro nawet Ostałówek i Broniów to niemalże dwa różne światy, to czy istnieje jeszcze coś takiego jak „wiejskość”?

TOMASZ RAKOWSKI: Dzięki naszej pracy docieramy do wielu wątków, które są elementem kultury wsi, „wiejskości”, lecz nie mieszczą się w jej klasycznej definicji, np. obecnej w wielu opracowaniach socjologicznych. Właściwie każdy z członków Kolektywu Terenowego ma takie doświadczenia.

Dla mnie na przykład fascynujące jest to, co w Broniowie i OstałóWKu robi się z samochodami i różnego rodzaju maszynami: jak się je ozdabia i przerabia, jak powszechna jest umiejętność i zwyczaj budowania maszyn własnej konstrukcji, różnych traktorów-samoróbek. Fascynuje mnie też nieformalny sposób przekazywania umiejętności „mistrzowskich”. Jeden z mieszkańców Broniowa, pan Wiesław Zielonka, przychylił na przykład do zawodu cały klan murarzy. To są ludzie, którzy teraz są niezwykle cenionymi fachowcami, jeżdżą do Szwecji i Danii. Ale wszystko zaczęło się od

„pana Wiesia”, który postawił większość domów w Broniowie i właściwie wykształcił własną, kompletną kulturę budowlaną.

JULKA BICZYSKO: Jednym z elementów „wiejskości”, o którą pytasz, jest poczucie bycia „gdzieś na uboczu” – zawsze jest jakiś punkt odniesienia w przestrzeni, w stosunku do którego mieszkańcy danej wsi plasują się na mapie, jakiś horyzont. Nie jest jednak tak, jak się często myśli: że tym punktem odniesienia jest zawsze najbliższe miasto w okolicy.

Przekonałam się o tym przy okazji moich działań w Broniowie. Zaprosiłam mieszkańców do wspólnego malowania przystanku i zaproponowałam, żeby umieścić na nim nazwy miejscowości, do których chcieliby pojechać. Niektórzy faktycznie odpowiedzieli, że pojechaliby „na Krawarę” – okolicznej wsi – czy do Szydłowca. Ale były też inne odpowiedzi: ktoś np. chciał pojechać do Dubaju. To pokazuje, jak bardzo ten „horyzont” jest różny nawet w obrębie jednej społeczności.

DOROTA OGRADZKA: Podobnie jest z instytucją małżeństwa, którą zajmowałam się w OstałóWKu. Moim celem było doprowadzenie do spotkania i konfrontacji doświadczeń kobiet, które mają za sobą ślub i małżeństwo. Okazało się, że owe doświadczenia są skrajnie różne! Kobiety, z którymi rozmawiałam, same się dziwiły, że można myśleć tak, jak myśli np. ich sąsiadka. Patriarchalny model małżeństwa, choć nadal silnie obecny, nie jest wcale, jak by się mogło wydawać, jedynym możliwym.

EWA CHOMICKA: Z kolei w Broniowie widać, jak zmienia się doświadczenie związku z ziemią. Mieszkańcy masowo →



Powyżej: kobieta z „kukiolą” dla chrześniaka, Podegrodzie, pow. Nowy Sącz, fot. Mieczysław Cholewa

Po prawej: rodzina przy posiłku w kurnej izbie, Gostwica, pow. Nowy Sącz, fot. Eugeniusz Frankowski, 1913 r.



Od jadła chłopskiego do chłopskiego jadła

Co naprawdę jedzono na opisanej przez Kolberga polskiej wsi? I co dziś kultura robi z jedzeniem, zwłaszcza tradycyjnym? Opowiadają Grażyna Ewa Karpińska, Ewa Nowina-Sroczyńska i Aleksandra Krupa-Ławrynowicz, badaczki kulturowych przygód kulinariów.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: W dzisiejszych „karczmach regionalnych” króluje „Półmisek Boryny” czy „Przysmak juhasa”. Sprawdziłem u Kolberga, co było przysmakiem juhasa: „Juhasi (...) w zimie jedzą, tak jak inni tamtejszych osad mieszkańcy, kulasę z mlekiem (mąkę owsianą, razową, sparzoną ukropem i zmieloną na klajster)”. Czego o diecie tradycyjnej polskiej wsi dowiadujemy się od Kolberga? **EWA NOWINA-SROCZYŃSKA:** Pożywienie wiejskie drugiej połowy XIX wieku cechuje przede wszystkim minimalizm: to dieta kartoflano-mleczno-mączna, na pewno nie mięsna. Po drugie, rygoryzm, w którym zawiera się podział świata na codzienny i świąteczny. Bo pożywienie chłopskie nie dzieli się tylko wedle pór roku czy według typów kultury, rolniczej bądź pasterskiej, ale także według jakości czasu: na codzienne i świąteczne.

GRAŻYNA EWA KARPIŃSKA: W jednym z tomów „Mazowsza” Kolberg zanotował: „Lud w ogóle ubogim jest

i był, więc przywykł poprzestawać na małym”. W „Krakowskiem” zaś: „Tutejszy chłop wybrednym nie jest”. Już z tych uwag wynika, że na co dzień jadano jednostajnie i ubogo. Pożywienie składało się z ziemniaków, czasem pomieszanych z kaszą, okraszonych słoniną lub olejem. Jako omasty używano maślanki lub serwatki, a stare sadło służyło nie tylko za omastę, ale też za mięso. Powszechna była kapusta kiszona. Mleko słodkie, sery, masło i jajka były na sprzedaż.

Często Kolberg pisze o polewkach. Z jego opisów wynika, że musiały smakować okropnie. Warzono barszcze z kapusty lub buraków, żury na kwaszonej mące lub chlebie, polewki z serwatki zatrzepanej mąką na rzadko, wodzianki z suchego chleba zalewanego wrzątkiem, nieraz z dodatkiem czosnku.

Ale chleb też nie był powszedni.

G. E. K.: Piekli go w domu, głównie z żytniej mąki. Lecz jeszcze w okresie międzywojennym w wielu domach nie starczało mąki na wypiek chleba. Był pożywieniem odświętnym. W codziennym użytku były placki jęczmienne, nieraz jedzone na gorąco, górale zaś piekli placki owsiane. Na Kurpiach jedzono czarny chleb – ale tylko w zamożnych domach. Często sięgano też po kasze.

Od samego słuchania można dostać awitaminozy. Co z warzywami i owocami, z którymi tak dziś kojarzymy wieś?

G. E. K.: Kolberg pisze, że chłopci „nie mają gustu ani sposobności”, by jadać owoce.

E. N.-S.: Bo na polskiej wsi prawie nie było sadów.

G. E. K.: Jedzono najczęściej dzięki śliwki lub ulegalki – gruszki, które spadły z drzewa i scukrzyły się na ziemi, tracąc cierpkość. Zjadały je dzieci i pasterze.

E. N.-S.: Warzyw też nie jedzono zbyt wiele. Sady i warzywnictwo występowało m.in. tam, gdzie obecny był zakon cystersów.

Kuchnia włoska wywodzi się z biednej wsi, a jednak dużo uwagi przywiązuje do smaku. W opisach Kolberga nie ma nawet śladu czegoś podobnego. Czy na wsi jedzono na co dzień cokolwiek choć trochę smacznego?

E. N.-S.: Tu zastrzeżenie: Kolberga musimy czytać między wierszami, bo zajmował się tylko opisem, nie rejeestracją postaw czy ich analizą. Dziś interpretujemy Kolberga źródła, używając całej dostępnej wiedzy antropologicznej. Kolberg nigdzie więc nie notuje, czy chłopcy lubili swoje pożywienie, czy też nie. Ale to nie znaczy, że smak się na wsi nie liczył, z pewnością jedno potrawy lubiano bardziej, inne mniej. Z opisów pożywienia świątecznego możemy wnioskować, że smak polski, nie tylko zresztą chłopski, jest kwaśno-słodki. Składniad mało prawdopodobne, by Kolberg kosztował tego, co opisywał. Przecież z Ludwikiem Norwidem i kolegami żywili się głównie w dworach.

G. E. K.: A jednak musiał wiedzieć, że wszystkie te polewki nie były smaczne, w jednym z tomów przeczytamy, że do wodzianki z suszonego i zalanego wrzątkiem chleba dodaje się czosnek i sól – dla smaku. Podkreśla to, domyślam się więc, że bez przyprawienia wodzianka smakowała okropnie. Pisząc zaś o Kurpiach, wspomina o „rejbakach” – plackach ziemniaczanych. Notuje, że „potrawy tej niesmaczną nazwać nie można”.

ALEKSANDRA KRUPA-ŁAWRYNOWICZ: Sądzę, że w chłopskiej kuchni smak miał jednak znaczenie, a świadczą o tym opisy związane z postem. Bardzo oczekiwano bowiem jego końca i świątecznych smakołyków, na co jaskrawo wskazują gesty i obrzędy związane

Rozmówczynie są etnologami i antropolożkami kultury, pracują w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego. Prowadzą interdyscyplinarne seminarium „Palce lizać? Kulturowe przygody kulinariów” (palcelizac-spotkania.blogspot.com).

→ Prof. GRAŻYNA EWA KARPIŃSKA jest dyrektorem Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ, zajmuje się m.in. antropologią codzienności, miasta i przestrzeni. Opublikowała m.in. artykuły „Tradycje kulinarne na »Szlaku Łaknienia«” (w: „Nie tylko o wsi...”, Łódź 2013), „Food court jako nie-miejsce” (w: „Miejsca biesiadne. Co o nich opowiada antropolog?”, „Łódzkie Studia Etnograficzne”, Łódź 2007).

→ Prof. EWA NOWINA-SROCZYŃSKA jest kierownikiem Zakładu Antropologii Kulturowej UŁ, zajmuje się m.in. antropologią symboliczną i wizualną. Prowadziła m.in. badania pt. „Wieś agroturystyczna w okresie transformacji systemu politycznego (Podhale)”. Jest konsultantką i scenarzystką filmów etnograficznych.

→ Dr ALEKSANDRA KRUPA-ŁAWRYNOWICZ zajmuje się m.in. antropologią zmysłów i jedzenia. Prowadziła m.in. badania pt. „Zawojskie smaki. Produkty regionalne, rodzinne receptury i zwyczaje”.



Po lewej: Targi Sztuki Ludowej, pokaz „Motywy ludowe w odzieży współczesnej”, fot. Jacek Kubiena, 1974 r.
Powyżej: Felicia Curyłowa przed domem w Zalipiu

Państwo ludowe

Choć słynna Cepelia powstała już po wojnie, „zastosowanie” – czy raczej: „przystosowanie” – kultury ludowej do potrzeb mieszkańców miast nie było wcale pomysłem PRL-u.

PIOTR KORDUBA

Ci z Czytelników, którzy pamiętają drugą połowę XX w. w Polsce, zapewne pamiętają też jeszcze jedno: powszechną obecność wytworów tzw. ludowej kultury i sztuki w ich codziennym – i odświętnym – życiu.

Żyjąc w PRL-u, nie sposób było nie zauważyć kilkuset cepeliowskich sklepów rozsianych po całym kraju (z których był zresztą pożytek, gdy chciało się kupić coś „porządnego”), rokrocznych jarmarcznych cepeliad, występów setek zespołów pieśni i tańca, delegacji w strojach ludowych i ludowych gadżetów zdobiących nawet hotele Orbisu czy biura LOT-u.

Towarzyszące tej obecności, zideologizowane narracje zapewne przekonały wielu, że to dopiero państwo ludowe prawdziwie promuje sztukę i rękodzieło ludowe oraz opiekuje się ich twórcami. Tymczasem – choć PRL niewątpliwie zmonopolizował oraz „zmonumentalizował” tę wytwórczość – pomyśl na to, by „wyroby rękodzielnicze wieśniaków zastosować do użytku nowoczesnego” (tak ujęto

tę kwestię w katalogu polskiej ekspozycji na wystawie światowej w Paryżu w 1937 r.), był wytworem przedwojennego świata i jego elit.

Także owo „zastosowanie” – które w praktyce szybko zamieniło się w „przystosowanie” – ma swoją genezę przedpeelerską. Ikona tego przedsięwzięcia, czyli Cepelia (Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego), choć powstała w 1949 r., była tylko wcieleniem w życie tego, czego nie udało się w pełni uczynić przed dekadą, a u czego źródeł leżały ziemiańsko-inteligenckie zainteresowanie i fascynacja polską wsią.

Jak miasto wymyśliło wieś

Za patrona tego zainteresowania możemy uważać Oskara Kolberga. To on – miejski inteligent, najczęściej rezydujący w ziemiańskim dworze i z tej perspektywy rejestrujący ludową kulturę – ugruntował obecną aż do współczesnych czasów, specyficzną relację pomiędzy polskimi elitami a polską wsią. W obszarze życia artystycznego przybrała ona wiele postaci: od stylu zakopiańskiego czy młodopolskiej chłopomanii, aż po zintegrowany ideowo-estetyczno-gospodarczy projekt, który dał początek Cepelii. Każdy z tych przypadków był bardziej efektem zaprojektowania pewnej wizji sztuki i kultury ludowej niż jej neutralną recepcją.

Przedwojennym poprzednikiem Cepelii, na którego strukturze i zadaniach oparto jej późniejsze funkcjonowanie, było Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego. Instytucja ta powstała w Warszawie w 1907 r. Od momentu odzyskania niepodległości Towarzystwo próbowało godzić opiekę nad sztuką i ludowym rękodziełem z oficjalną polityką państwa wobec tych gałęzi wytwórczości. Opieka ta była pomyślana jako przedsięwzięcie go-

spodarcze, które sprowadzało się do przekonania, że jedynym ratunkiem dla oryginalnie wytwarzanych na wsi przedmiotów jest znalezienie dla nich zbytu w mieście, bo tylko popyt może zapewnić ludowemu przemysłowi ciągłość. Oczekiwania państwa sprowadzały się do stymulowania ludowej wytwórczości jako źródła do poprawy finansowej sytuacji mieszkańców wsi, ale także „zabezpieczenia tej wytwórczości” jako przydatnej w przekonaniu o bogactwie i unikalności polskiej kultury.

Aby tak się stało, trzeba było, możliwie najmniej inwazyjnie, przy pomocy znawców sztuki i przemysłu ludowego, przystosować to rękodzieło do miejskich potrzeb. Polegało to na przykład na poprawieniu jakości farbowania wełny, tkaniu na szerszych krosnach, tak aby wielobarwne pasiaki, samodziła czy chodniki nadały się też na zasłony lub meblowe oraz ścienne obicia do nowoczesnych mieszkań wielkomiejskiej klienteli. W ten sposób wykreowano świat wyrobów, który należałoby określić mianem „ludowości na sprzedaż” – dopasowanej do potrzeb współczesnego odbiorcy, intensywnie czerpiącej z dorobku tradycyjnej sztuki

i przemysłu ludowego, ale nie przeznaczoną do własnego użytku twórców.

Cocktail party na ludowo

Towarzystwo działało w porozumieniu ze stroną rządową, a konkretnie Referatem Przemysłu Ludowego przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu, od którego otrzymywało coroczne dotacje. Współpracę koordynowało kilka kobiet, nieprzypadkowo wywodzących się z ziemiańsko-inteligenckich sfer. To, czym dotąd przedstawiciele tych grup społecznych zajmowali się z ciekawości czy też poczucia klasowego obowiązku, kobiety te obróciły w zawodową pracę o ogólnopolskim zasięgu. Wspierał je także autorytet nauki – by wspomnieć tylko o poparciu dla przedsięwzięcia ze strony znanej etnologiki i historyczki sztuki profesor Cezarii Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutzowej (żony premiera Janusza Jędrzejewicza) z Uniwersytetu w Wilnie.

Ten powiązany wspólną ideą działania, ale także społeczno-towarzystwem zapleczem krąg osób doskonale

zdawał sobie sprawę ze znaczenia, jakie ma upowszechnienie mody na stosowanie wytworów sztuki i przemysłu ludowego we współczesnych wnętrzach. Przy oddziałach Towarzystwa powstały bazy, w których można było takie wyroby nabyć, a w latach 30. XX w. także wytworne, zaprojektowane przez wybitnych architektów wnętrza salony sprzedaży, jak np. „Len Wileński” czy „Artystyczne Rękodzieło Wsi” w Warszawie. Oferowano w nich wileńskie samodziały, dwuosnowowe dywany tkane przez ludowe tkaczki pod okiem artystki Eleonory Plutyńskiej, ceramikę, a także całkowicie nowoczesne meble obite regionalnymi tkaninami.

Aurę snobistycznej mody na ludowość podtrzymywano urządzając promujące ją spotkania, nad którymi patronat obejmowały ważne osobistości. Tak stało się na przykład w marcu 1933 r., kiedy „pani Beckowa, żona ówczesnego ministra spraw zagranicznych, urządziła w sklepie na Tamce cocktail party dla dyplomacji i wybranej elity finansowej i artystycznej. (...) Coś z surrealizmu unosiło się w tej atmosferze. Wytworne stroje, akselbanty, brzęk ostróg, lokaje roznoszący napoje, panie strojne w hafty ludowe, wykwiint i zwykła polska wieś” (ze wspomnień jednego z uczestników).

Wykonywane pod nadzorem Towarzystwa wyroby pojawiały się również na większości polskich ekspozycji za granicą – z wystawami światowymi na czele. Umiejętnie wplecione w ich nowoczesne aranżacje wzmacniały pożądaną oficjalnie obraz ówczesnej Polski jako kraju modernizującego się, ale zarazem pielęgnującego tradycyjną kulturę.

W okresie międzywojennym stworzono więc odpowiednią atmosferę do przenikania sztuki i rękodzieła lu-

„**W Cepelii dbałość o etnograficzną** oryginalność kończyła się, gdy do głosu dochodził pragmatyzm. Przykład? Stroje wykonawców ludowych pieśni i tańca, których oryginalne tkaniny należało pocienić, gdyż ich grubość, w połączeniu z ciepłem, które na estradzie zapewniały reflektory, uniemożliwiałaby występy.



Taniec w wykonaniu zespołu regionalnego, Strupin Duży, pow. Chełm, woj. lubelskie, fot. Edmund Uchymiak, 1964 r.

→ ze względu na rygory ówczesnej epoki, lecz także ze względu na przekonania, że to właśnie polska wieś jest źródłem kultury narodowej, którą to badania ludoznawcze miały odkrywać.

Kiedy Kolberg miał cztery lata, Kazimierz Brodziński postulował odrodzenie literatury poprzez sięgnięcie do źródeł ludowych. Gdy miał osiem lat, ukazały się „Ballady i romanse” Adama Mickiewicza.

Kolberg dorastał w czasie, w którym wybuchał u nas romantyzm. Właśnie dlatego ta romantyczna fascynacja ludem jest u niego tak silna. W jego czasach korzeni czystości i pierwotności – rozpatrywanych na wielu płaszczyznach, ale także w opisach życia seksualnego chłopów – szukano właśnie na wsi, nieskażonej powszechną lubieżnością. Kultura ludowa była dla Kolberga żywym zabytkiem dziejowym, kroniką tego, co było wcześniej. Tak też postrzegano wieś – jako tę, która strzeże naszych najlepszych obyczajów i jest moralnie bez zarzutu.

Za rozpustę – jak podaje Kolberg – groziły sankcje. W tomie „Kujawskie” opisuje, jak karano „rozpustną dziewczkę”. Pisz m.in. o zwyczaju prowadzenia przez wieś takiej kobiety, która musiała „jechać na miotle do krzyża lub słupa, tam plackiem upaść i błagać Boga o miłosierdzie”.

To przykład opisu czynności rytualnych i magicznych. Wiele podobnych można znaleźć w innych tekstach ludoznawczych, nie tylko u Kolberga.

Opis obyczajowości seksualnej chłopów dotyczył głównie czystości przedmałżeńskiej, nieślubnych dzieci i zrad małżeńskich. Funkcjonowała lista zakazów i nakazów, a obok niej lista sankcji, których przywołany przez Kolberga opis jest przykładem. Piętnowano także wszelkie przejawy sodomii, czyli zbrocenia w społeczności wiejskiej. Procesy związane ze sprawami obyczajowymi toczyły się przed sądami grodzkimi. Mieszkańców wsi posądzano o homoseksualizm, współżycie ze zwierzętami, o czary.

Lubieżności nie brakowało też w mieście. W pamiętniku Kazimierza Chłędowskiego, wydanym pół wieku po jego śmierci, autor – młodszy od Kolberga o niespełna trzydzieści lat – przedstawia nieobyčajne historie m.in. z Krakowa, Lwowa i Wiednia. Opisuje, jak z kolegami, także studentami, obserwowali i „obstawiali”, czyli podrywali młode damy z towarzysztwa, które miały dużo starszych i zapracowanych mężów. I to, co działo się później. Gdyby pamiętnik ukazał się za życia autora, nie uniknąłby on na pewno licznych procesów o zniesławienie.

W ludowej wizji świata człowiek i jego ciało są ulokowane w centrum świata. W artykule „Ciało w okresie transformacji” napisał Pan, że wiedzy chłopów o poszczególnych narządach i ich nawzajemnie towarzyszyła niewiedza związana z funkcją, jaką pełniły w ciele człowieka.

Takie przykłady przywołuję m.in. w książce „Medycyna ludowa”. Znaczna ich część wiązała się z narodzinami dziecka. Kobietom tuż po porodzie masowano np. brzuch, by macica mogła wrócić na właściwe miejsce. Aby wyleczyć chore dziecko, matka siadała na jego twarzy nagimi narządami, dokonując w ten sposób „powtórnym”, symbolicznym narodzin, które miały dziecko uzdrowić.

W przekazach ludowych pewne przekonania były bardzo silne, jak np. to, że nasienie mężczyzny tworzy się w mózgu i sływa rdzeniem kręgowym. A ten, który onanizuje się, popełnia grzech ciężki, ale też szkodzi swemu zdrowiu, bo osłabia swój kręgosłup, będzie garbaty, zgłupieje, bo wysusza sobie mózg. Z kolei

zapłodnienie polega na pomieszanu męskiego nasienia z farbą kobiety, czyli z krwią menstruacyjną. Dlatego małżeństwu, które nie miało dzieci, radziło się, by współżyli wtedy, kiedy kobieta ma menstruację. Także w ludowej magii miłosnej były sposoby na zwalczanie niepłodności, które polegały na picciu rozpuszczonych w wódce kropel krwi menstruacyjnej.

Czy u Kolberga znajdujemy informacje o tym, jak badani przez niego chłopci postrzegali ciało?

Kolberg nie prowadził typowych, pogłębionych badań etnograficznych, takich jak np. Malinowski. Nie zamieszkiwał we wsi, której mieszkańców badał, i nie chodził od domu do domu, nie obserwował też ludzi przy codziennych pracach. Z bliska poznawał ich rzadko – w karczmach. Spotkania z pijanym chłopstwem, próby sporządzania wtedy notatek, kończyły się próbami pobicia, ucieczką. Dlatego w jego opisach jest niewiele informacji o tym, jak chłopci postrzegali cielesność. Kolberg koncentrował się na opisie folkloru i obrzędów. Przyjeżdżał do dworu, gdzie był rezydentem, jak pod Krakowem u Konopków, albo pod Sanokiem u Blizińskiego. Z reguły chłopci byli wzywani na ganek, albo do kuchni, gdzie badacz zadawał im pytania i notował odpowiedzi. Zdarzało się też, że dla Kolberga zbierała materiały gospodyni domu – „przesady, zabobony i tym podobne absurda”, jak pisał Bliziński do Kol-

berga o takich zajęciach swojej żony, na podstawie których badacz przygotowywał swoje opisy. Taka metoda ograniczała możliwość obserwacji naturalnych zachowań opisywanych ludzi.

Słowa w przekazach ludowych miały też większą moc sprawczą. W pracach Kolberga to widać?

Można zaobserwować popularne wtedy przeklinanie innych osób, które oznaczało, nie tak jak dziś, chwilowy upust złości, ale było przejawem tego, że komuś źle życzymy. Język był narzędziem działania, a słowa posiadały wartość magiczną.

Ta magia słów miała duże znaczenie zwłaszcza w tzw. magii miłosnej. Jeśli chcę „go mieć” i nie potrafię sama tego zrobić, to muszę iść do wiedźmy, mogącej sprawić, że osoba, której pożądam, zwróci na mnie uwagę. Miłość pojmowano więc jako formę zauroczenia. To każe pamiętać, że sposoby zalotów męsko-damskich są zmienne historycznie i kulturowo.

Każdy tom Kolberga otwiera opis kraju i ludzi uwzględniający kontekst historyczny, geograficzny, demograficzny i etnograficzny. Jaki odnajdujemy w nim językowy obraz kobiety i mężczyzny?

Różnorodny i niekonsekwentny. Kolberg często nie pisał bowiem tych wstępów samodzielnie, lecz „sklejał” je z różnych wycinków i źródeł: gazet, rękopisów, niekiedy nawet z dzieł literackich różnych autorów. Wygląda to tak, jakby wziął nożyczki, powycinał różne rzeczy z różnych miejsc i skleił w jedno. Części i opisy różnią się stylistycznie. Dlatego obok siebie możemy znaleźć fragment, w którym autor pisze o góralach, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety są bardzo przystojni, a obok inny, w którym autor twierdzi, że o płci pięknej nie ma co w ogóle mówić. Wynika to stąd, że w XIX wieku nie było jeszcze „profesjonalnej” etnografii, a granice między ludoznawstwem a literaturą piękną były wciąż nieostre. ◆

ROZMAWIAŁA ANNA GOC

→ Prof. ZBIGNIEW LIBERA jest kierownikiem Zakładu Kultur Regionów w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor m.in. „Medycyna ludowa. Chłopski rozsądek czy gminna fantazja?” (1995).

” **W czasach Kolberga** korzeni czystości i pierwotności szukano na wsi, nieskażonej powszechną lubieżnością. Wieś potrzegano jako tę, która strzeże naszych najlepszych obyczajów i jest moralnie bez zarzutu.



fol. Piotr Baczewski

Od początku swojej działalności **Instytut Muzyki i Tańca** kładzie duży nacisk na wspieranie i kultywowanie polskiej muzyki tradycyjnej. Dwa programy własne IMiT skierowane do artystów i instytucji związanych z muzyką tradycyjną – „**Szkoła mistrzów tradycji**” i „**Szkoła mistrzów budowy instrumentów ludowych**” powstały w ścisłej współpracy i po konsultacjach z organizacjami i środowiskami działającymi na rzecz zachowania tradycyjnej polskiej kultury muzycznej, m.in. z Forum Muzyki Tradycyjnej.

Efekty zakończonych edycji obu programów IMiT to 11 projektów warsztatów nauki tradycyjnych technik wykonawczych, organizowanych na terenie całego kraju i prowadzonych przez autentycznych mistrzów ludowych oraz ich współczesnych kontynuatorów oraz 9 indywidualnych i instytucjonalnych warsztatów budowy instrumentów ludowych.

Instytut Muzyki i Tańca jest narodową instytucją kultury powołaną 1 października 2010 przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego.

Instytut zajmuje się badaniem i analizą funkcjonowania środowisk tańca i muzyki, przedstawia Ministrowi raporty i postulaty, stanowiąc zaplecze eksperckie. Inicjuje własne programy wspierające rozwój kultury

W ramach tego programu powstały unikalne instrumenty z różnych regionów Polski: dudy wielkopolskie, sierszenki dmuchane, bębenek biłgorajski, cymbały, baraban z talerzem, kozioł biały weselny, lira korbowa, dudy żywieckie i piszczałka bezotworowa. Projekty instrumentów oraz filmy z warsztatów sukcesywnie zamieszczane są na stronie www.imit.org.pl.

W ramach programu IMiT „**Muzyczne białe plamy**” dotyczącego zaniedbanych lub mało znanych obszarów polskiej muzyki, powstały dwie obszernie prace etnomuzykologiczne – *Repertuar muzyczny południowej części Śląska Cieszyńskiego (Beskid Śląski) – tradycja i współczesność* oraz *Ludowe pieśni religijne na Podlasiu*. W trakcie realizacji jest praca badawcza *Polska kultura ludowa w świadomości społeczności polskiej na pograniczu polsko-białoruskim (Grodzieńszczyzna)*.

muzycznej i tanecznej, prowadzi także działania w sferze edukacyjnej oraz działalność dokumentacyjną i archiwizacyjną. Uczestniczy również w wymianie informacji i doświadczeń pomiędzy krajowymi i międzynarodowymi organizacjami branżowymi.

W 2014 roku Instytut pełni dodatkowo funkcję **Biura Obchodów Roku Kolberga** oraz operatora programu Ministra „Kolberg 2014 – Promesa”.



Uniwersytet
ŁÓDZKI

TADEUSZ KOTARBIŃSKI

1886 – 1981



“W wolności najcenniejsza jest jej świadomość.”

Tadeusz Kotarbiński

PIERWSZY REKTOR UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Archeologia, Dziennikarstwo, Etnologia, Historia, Filologie Klasyczne i Nowożytne,
Filozofia, Kulturoznawstwo, Nauki Prawne, Nauki o Zarządzaniu,
Nauki o Wychowaniu, Nauki Polityczne, Socjologia.



Od początku istnienia

Uniwersytet Łódzki
wspiera badania i studia humanistyczne.